

KUŹNICA

Rok IV

Łódź, 30 maja 1948 r.

Nr 22 (143)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

MIECZYŚLAW JASTRUN

LEGION^{*)}

RYZYM w pierwszych miesiącach 1848 roku nie był podobny do Rzymu, który Mickiewicz opuścił osiemnaście lat temu na wieść o powstaniu. Rzym nowożyty przyszłością. Najsprzeczniejsze wiadomości krążyły po mieście, budząc niepokój, radość, strach i zniechęcenie. Wieść z Neapolu o konstytucji nadanej przez króla była powodem wielkiej manifestacji ludu rzymskiego. Reformy dokonane przez Piusa IX wywoływały w masach ludowych entuzjazm. Papież stawał się bohaterem rewolucji. Powtarzano sobie jego błogosławieństwo dla Italii. Upadek Ludwika Filipa doprowadził entuzjazm ulicy do stanu radośnego wrzenia i przeraził kupców i arystokratów.

Zygmunt Krasiński, który w tym czasie przebywał w Rzymie, obserwuje z trwogą rozwój wypadków, nie traci jednak otuchy i usiłuje podburzyć emigrantów polskich przeciw Mickiewiczowi, którego uważa teraz za proroka buntu i wieszczą mordów. Popiera natomiast przeciwnika ruchów ludowych, hrabiego Władysława Zamojskiego.

„Powtórnie spotykamy się w przeddzień wielkich wypadków” — powiedział Mickiewicz, natknawszy się na Krasińskiego na jednej z ulic rzymskich. „Nie wierzę w bliskość zmian w Europie, gdy kurs podnosi się na giełdach w Paryżu i w Londynie” — odparł Krasiński. Mickiewicz patrzył na zniszczoną twarz poety. Nosił on ciemne okulary, cierpiał bowiem na chorobę oczu i groziła mu ślepotą. Na ustach miał pół-ironiczny, pół-miłosierny uśmiech. Jego ruchy zgrabne i opanowane, jego arystokratyczne wzniesienie i świetne maniery kontrastowały z zamyśleniem, które tej nieładnej twarzy nadawało wdzięk nieuchwytny. Don Juan był w tej chwili cały pochłonięty wypadkami politycznymi. Nerwy jego nie wytrzymały próby w tych miesiącach, w których ważyły się losy Europy. Raz mówił o Mickiewiczowi właściwym sobie patetycznym językiem: „duch tytański, Prometej przykuty do skały czy nieśczęść narodowych czy wiar własnych”, a kiedy indziej: „Uwierzyłem w diabła, patrząc na tego człowieka, patrząc na jego nienawiść katęgo, na jego radość, niekroć się gdzie krew leje”. Innym razem wymyślał mu od Żydów, co w ustach hrabiego Henryka było najcięższą obelgą: „Czy wiesz, że matka jego była Żydówką, która się prechrzczyła... pisze w liście do Cieszkowskiego, opierając się na famie, która krążyła wśród emigrantów o nieboszczce Barbarze Majewskiej, ile że nazwisko to nosili wówczas liczni na Litwie francisci.”

W liście do Delfiny Potockiej opisuje Krasiński wizytę swoją u Mickiewicza.

„Zastałem tam na 3 piętrze Adama — wchodzi — był z nim uceń Gierycz. — Zrazu nie poznał — ale wnet rzucił się na mnie i ścisnął do zaduszenia — i rzekł to-nem mongolskim do Gierycza, z którym grzecznie się chciałem przywitać i zapoznać:

— Ruszaj precz — zostaw nas samych.

Ten, jak niewolnik, nie śmiejąc się nawet mi odkłonić, znikł. — Zostaliśmy sami. —

*) Fragment rozdziału książki o Mickiewicz, która ukaże się nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego.

On zaraz do mnie o wielkościach mego Ducha, i że z naszego spotkania się dobro dla wszystkich wypłynąć musi. — Ja, nie pozuwając się do wielkości onych, coś skromnie zaprzecznego odpowiadam — że blask sam na mnie on rzucił. — On wtedy natychmiast w gniew:

— A to żarty — zawsze żarty — tylko kpiny — czy się nie czujesz — czy nie

— Zapominasz, że całe wychowanie włożyło na panią Delfinę jako powinność, obowiązek nie wyrażania się nigdy po chłopsku.

— Ach! Ach! prawda i to — masz rację — o czym innym mówimy.

Pierwszą tę walkę stoczywszy i nie ustąpiwszy, zacząłem w mnóstwie rzeczy co chwila walczyć, przystawać, kiedy mogłem, opierać się, kiedy nie czułem, że prawda — kiedy on głos podnosił, ja głośniejszy jeszcze wydobywałem z piersi — to wierało specyficznie na nim wrażenie. — Ale wiesz, w dyskusji kogo mi najbardziej sposobem łamany a despotycznym jej prowadzenia przypominał — wiesz kogo? Ot, ojca mego — i to nie tylko w metodzie, ale i w wielu zdaniach swoich, skoro mówi o wadach narodu. — Nic przykrejszego, jak rozmowa z nim — bo ciągnął bójką na noże — nigdy go w ciągu logicznego rzeczy nie utrzymać — skacze przez otchłań rozumowania, z brzegu na drugi. — Jednak, jak każdy despota, skoro poczuje opór silny i z prawdziwego przywileju wolności pochodzi, zmieszany się cofa. — Ból wtedy okropny maluje się na jego twarzy. — Renę, którą ci wciąż zadaje, ty mu wtedy zadajesz na odwrot. Choćby i prawda wieściasta była w towarzyszeniu, jeszcze bym powiedział, że go opętała. — Bo przecież nie rozlewać prawdy, jak światło się rozlewa, ale wciskać ją tak, jak nakłada się kajdany, to być opętany, a nie oświeconym przez prawdę! Myślałem, że doznam wpływu mistycznego — wiesz, owego, który w mózgu zdrgawszy, spływa mrozem przez kość pancerzową, zaiskrza się łzami w oczach roztkliwionych. — Nic takiego — wcale nie, nie doznałem — owszem, rzeczywistą tylko u-

czulem energię we mnie się budzącą, twarzą stał Ducha, stojącą oporem przeciw stał drugiej — świętej wolności dar mi od niebios dan w stosunku do wszelkiego Ducha, odzywający się w piersi przez ucisk obrażonej. — I tom mu zaraz wypowiedział, z najtkliwszą prośbą, by pamiętał o tym i w rozmowie nie chciał mi być tyranem.

— Możesz być Duchem wyższym stokroć ode mnie, i myślę, że takim jesteś — lecz przed Bogiem, przed owym Trzecim przeto, oba równość zażywamy jednej co do wolnego, niepodległego myślenia. — Ja mam święte prawo mówić i oświadczać co myślę, czuję, w co wierzę, lub co odrzucam.

A on wtedy: „Prawda, prawda”, i znów jak raniony się cofa i marszczy czoło i przymyka oczy — i nozdrzami chwyta więcej powietrza!”

Obok Scala Santa, schodów pałacu Piłata, papież Pius IX podarował bazyliakom polskim klasztor, w którym one pod przewodnictwem Makryny Mieczysławskiej odprawiały nabożeństwa i śpiewały polskie ludowe nabożeństwa. W północnej kaplicy słowa proste, powracające w zawodzeniach litanii, otwierały serca pań polskich, wśród których Zygmuntowa Krasińska zwracała uwagę wypielegnowaną urodą. Serce Jezusa i Serce Maryi śpiewały mniszki pochylając głowy w migającym blasku świec.

Makryna Mieczysławska modliła się żarliwie, powiedzieliśmy wzorowo, jak przystało na księżkę klasztoru. Była to kobieta w wieku podeszłym, o rysach grubych i pospolitych, raczej wyglądała na gospodynię



Ksawery Dunikowski:

Mickiewicz

wiesz kimeś, — tu nie o skromność lub pychę chodzi, — ale o dary złane, które trzeba uczynić. — Zawsze żarty — nie serio nigdy — to jak Mycielski G-ał. Do-skonali, zacy — ale rozstrzelał się całą na żarty — nie skupi się nigdy. — To jak pani D. (tym uszy natężył); — wyższy Duch — tak, wyższy — niepospolita kobieta — ale co z tego? — Przychodzę do niej, z najgłębszym uczuciem mówię jej: „Jadę do Rzymu”, a ona: „Ah! comme je voudrais aller avec vous”. Więc ja mówię: „Biorę z sobą”, a ona wtedy: „Je ne puis pas”. Więc na co mówić, że chciałoby się, kiedy nie można — na co kpić. — Takim to mi tonem powiedziała lekkim; — szczerze, głębokie, chłopskie uczucie inaczej by się odezwało!

Natychmiast reflektować go zacząłem:

— A to chciałbyś, drogi Adamie, tyranii niesłychaną obarczyć każde słowo, każdy ruch, każdy wykrzyknik ludzki. — Jakżeż, nie wolno już krzyknąć: „Chce mi się?” — Na miłość Boga, co to znaczy? Nie wolno pani Delfinie oświadczyć chęć jakąś, a potem wyznać, że nie może jej wykonać! — To był krzyk naiwny jej ducha — a potem powiedziała: „Nie mogę”. — To znów był okoliczności mus — co tu dziwnego? — To potoczne życie — szczególnie najdrobniejszy — czy warto o nim mówić?

— Ale chłopskie uczucie inaczej by się było odezwało — jakoś by powiedziało z westchnieniem: „Ach! żeby to do Rzymu mnie” — ale nie takim sposobem: „Em-menez-moi avec vous, comme je voudrais” etc. etc.

Na to ja:

Wpisano do kontrolki periodyków
I Miejskiej wypożyczalni książek
dla dorosłych
dn. 30. V 1948

Encykliki papieskie, które rok temu jeszcze uważano za wielkie zdarzenia chwili, mają teraz co najwyżej znaczenie zabytku.

Adam Mickiewicz

Trybuna Ludów, 29 września 1949

TREŚĆ NUMERU:

MIECZYŚLAW JASTRUN —
LEGIONBOLESŁAW DUDZIŃSKI —
ROMA LOCUTAJURIJ TYNIAŃOW —
O REWOLUCJI LITERACKIEJPAWEŁ HERTZ —
WIERŚZESTANISŁAW DYGAT —
OPOWIADANIAMIECZYŚLAW BIBROWSKI —
O TEODORZE DURACZUJAKUB LITWIN —
O „WSPOMNIENIACH”
LUDWIKA KRZYWICKIEGOJERZY KRECZMAR —
Z TEATRÓW WARSZAWSKICHSTANISŁAW EHRLICH —
KSIĄŻKA O NIETZSCHEMG. K. —
ECHA PARYSKIEGO KONGRESU
HISTORYKÓWPRZEGLĄD PRASY
KORRESPONDENCJA

NOTY

w folwarku szlacheckim niż na przeorysz klasztoru.

Matka Makryna, do której pielgrzymowały jak do świętej tłumy pobożnych, by zachwycić coś z jej świętości, przybyła do Paryża w pięć lat po Towiańskim. Opowiadaniem jej o męczeństwie bazylianki, wspól z którymi ona, księżka klasztoru w Mińsku, wycierpiała wszystkie katusze i wyrafinowane tortury, dano wiarę. Postarali się o to księża polscy. Ale nie tylko emigracja nigdy niesyta cudów uwierzyła w męczeństwo Mieczysławskiej, która uszła z piekła prześladowań. Damy francuskie opowiadały w salonach z niezmierną egzaltacją i ze łzami w oczach o prześladowaniu zakonnic przez Rosję, wymawiały stacje męki bazylianki: Mińsk, Witebsk, Połock, Miadzioły. Najbardziej nieprawdopodobne tortury zadawane mniszkom przez diaków, żołnierzy moskiewskich, biskupa Siemazkę i czernie, przyjmowano w opowieści Makryny jako rzecz nie podlegającą dyskusji. Nie pytano o to, jak stara kobieta wytrzymała te wszystkie tortury, nie pytano o to, jak mogła być księżką klasztoru bazylianki w Mińsku, gdzie klasztoru takiego nie było.

Kiedy Mieczysławska opowiadała o plawieniu zakonnic w stawie w Miadziołach, albo biała o tym jak ona, księżka, błagała się koło trzech miesięcy po puszczach w głodzie i pragnieniu, ściganą przez oprawców, w prostocie z jaką mówiła były akcenty prawdy. Mieczysławska miała, w przeciwnieństwie do mistrza Andrzeja, wyobraźnię żywą, język prosty i świeży ową świeżością właściwą ludziom z gminu. Nie pytano dlaczego to księżka klasztoru wywodziła ród swój z arystokracji, nie znała żadnego obcego języka, dlaczego nie ma wykształcenia i manier.

Kiedy opowiadała, jak chcieli zgwałcić oprawcy ją, starą kobietę, przyjmowano i to, gdyż nie tak nie ozdabia kobiety, a zwłaszcza mniszki jak ujęcie przed gwałtem. Sprawy płci zajmują wiele miejsca w religiach, niekiedy mają zabarwienie szczególnie sadyistyczne. Makryna, po przybyciu jej do Paryża, zajęli się pieczętowanie księży Zmartwychwstańcy. Ksiądz Jelowiecki towarzyszył jej wszędzie i z tej nowej roli impresaria męczennicy za wiarę i naród wywiązywał się znakomicie.

Katolickie koła Paryża przyjęły ją z czcią należną świętym. Emigracja, której

Towiański już nie wystarczał, ujrzała w Mieczysławskiej żywe ucieleśnienie swych tęsknot, potwierdzenie swych cierpień. Nauka Towiańskiego była ciemna, zawiła i sucha, Mieczysławska nie przychodziła z jakąś nową receptą na zbawienie, wydawała się sama posłanniczką aniołów. Tak przyjął ją Słowacki. Jego poemat „Rozmowa z matką Makryną Mieczysławską” cały oddycha podziwem dla świętej prostoty tej kobiety, która nie uciekała przed męką. Ale zarazem trudno o bardziej tragiczny dokument tamtych czasów! Słowacki pada na kolana przed świętą oszustką. W okrutnych i wspaniałych wierszach tego poematu jest piekło podwójne — wyobraźni oszukanej. Dante oszukany! Tylko warunki życia na emigracji mogły wydać tak tragiczne nieporozumienie.

Z Paryża jechała Mieczysławska w towarzystwie i pod opieką ks. Jełowickiego przez Lyon do Rzymu. Była to podróż triumfalna i pełna scen z jakiejś monstrualnej komedii zabobonu. W Rzymie zamieszkała matka Makryna u zakonnic Sacré-Coeur na Trinità dei Monti. Grzegorz XVI przyjął męczennicę na specjalnej audyencji i miał być widocznie wzruszony powieścią Makryny o męczeństwie, przełożoną przez ks. Jełowickiego na język włoski. Nie przeszkodziło to papieżowi przyjąć później Mikołaja I, cara Rosji, w Watykanie. W języku dyplomatycznym różnów między Watykanem a przedstawicielem „tyranta północnej” nie padło nazwisko Mieczysławskiej. Prawdopodobnie Watykan wolał być ostrożny, nie mając pewnych dowodów. Jedną tylko legendą nie pytała o dowody, mimo, że już za pobytu Mieczysławskiej w Rzymie wiara w prawdziwość jej zeznań nie była na emigracji powszechna. Nawet książę Adam Czartoryski, jeden z pierwszych protektorów Makryny, już w roku 1846 wahał się czy nie należałoby wycofać się i „rzecz całą zamazać i pokryć zapomnieniem”.

W półmrocznej kaplicy mnaszki modlącej się na kolanach, wpatrzona w krwawe serce Jezusa, nie wiedziała nic o tych ponurych sprawach, biedne, podwójnie oszukane. Panie polskie wracają z nabożeństwa w kaplicy obok Scala Santa podniesione na duchu. W salonach później powtarzano z ust do ust upiększaną i dowolnie zmienianą opowieść o świętej niewieście. Złoty krzyż na dekolcie, pozwalającym domyślać się początku wypukłych piersi dziewiczych, dodawał powagi pachnącym ustom, gdy wymawiała prostą nazwę: Mładożyty.

Damy były zadowolone, gdyż dzięki jej wieniu się Mieczysławskiej mogły oddać księciu Adamowi świeczkę i ludowi ogarek. Albowiem protegowana księcia wywodziła swój ród z arystokracji, obyczaj zaś jej były gminne, mowa prostacka. Napór mas ludowych w tym czasie był już zbyt wielki, by można go było lekceważyć, nie więc dziwnego, że panie z wysokich rodów usiłowały znaleźć jakieś kompromisowe wyjście. Tak również Zygmunt Krasinski wybaczał niekiedy Norwidowi (jeśli sięgniemy po porównanie z innej sfery) gminność jego ubóstwa, wynagradzanego pewną nabytą wytwornością obyczajów i manier.

Dla Mickiewicza była Mieczysławska widomym znakiem cudowności żyjącej na ziemi. Gminność była w jego oczach największą ozdobą i zarazem rekwizytem prawdy tego, co mówiła, po prostu, z naturalnością tak wielką, że zdawała się przeczyć wszelkim powątpiewaniom. Przyjął też jej opowieść bez wahania, jak niegdyś naukę Towiańskiego.

Makryna nie poprzestała na roli świętej męczennicy, którą tłum łatwowniarnych prosił o błogosławieństwo, której welon zakonny w zapale religijnym dani na strzępy. Makryna patrzyła na tych ludzi z pewną wyższością, wiedziała, że ci sami pobożni prostacy zachowują jak talizman strzęp ubrania powieszzonego lub świętego brzytwą gilotyny. Siłą rzeczy stała się atutem w grze politycznej. Książę Jełowicki, opiekun jej i impresario, chciał przy pomocy tej świętej niewiasty wyrwać nacisk na Mickiewicza, rzucić go na kolana — wobec grozy nadciągających wypadków.

Mrok tajemnicy zastania rozmowę Mickiewicza z Matką Makryną, rozmowę, w której zdecydował się pójść do spowiedzi. Na spowiednika narzucił się książę Jełowicki, wróg Mickiewicza. Tym głębsza miała być pokora grzesznika. Spowiednik dochował tajemnicy spowiedzi. Ale scena, która teraz nastąpiła w cieniu kamiennych kolumn przed drewnianą kratą konfesonatu, miała niejakie podobieństwo do Improwizacji z „Dziadów”, improwizacji w ziemskiej karykaturze. Mówiono później, że spowiedź ta trwała siedem godzin na dwa zawody, że poeta ryczał tak, że słychać go było aż na chórze nad organami. Miotający się w sieciach księży Zmartwychwstańców, odbywający spowiedź, by Ojciec Aleksander zdrał z niego oskarżenie o kacerstwo, Konrad i książę Robak, namiętny i oszalały z bólu, słyszy dochodzący go zza kratki konfesonatu głos przenikliwy Ojca Aleksandra. O co pyta ten głos trzeźwy i

nazbyt ziemski? O co? O herezję, których był winien, o grzechy młodości, o gorsze jeszcze grzechy lat męskich, o złe współzycie z Celiną, o godny potępienia romans z Xawerą, o kacerstwo, o pychę, o sprzyjanie mordom i pożarom zbrodniarzy rewolucyjnych, o to wreszcie, że dzieci swe brał na przedstawienia teatralne w Paryżu, gorszące przedstawienia...

Cieszył się Zygmunt Krasinski z ukorzenia się Adama przed władzą kościelną: „Zaden to ksiądz nie sprawił, ale Makryna, ale pierwiastek niezawodny świętości i wielkości zawarty w duchu tej kobiety, co przez męczeństwo przeszła. Przed tym pierwiastkiem rozkuliwiał się Duch Adamowy i wczoraj stało się to, co piszę”.

Ale Krasinski nie wierzył w stałość przeobrażeń duchów mordu i pożogi rewolucyjnej. „Teraz i to ci powiem — ostrzegł Gaszyński — że jeszcze trzydzieści razy odstąć się może. Krótko powiem: o ile mi się wydaje, Towiański to kapitan sprawnik w nowej Jerozolimie. Makryna to szlachcianka polska w tej nowej Jerozolimie...”

Ona tymczasem radowała się ze zwycięstwa odniesionego nad poetą i siedząc w swej celi, zresztą wygodnie urządzonej i dywan mając pod nogami, które pławione były w stawie w Mładożyty, gubiła z oczu w tej chwili o zmierzchu granicę między prawdą a zmyśleniem. Może naprawdę szła tą drogą męczeńską do Witebska w śniegu i w kałużach, niosąc krzyż drewniany na uginających się ramionach? Może zdarzyło się rzeczywiście to, co opowiadała już tyle razy, że prawie uwierzyła sama w prawdę tego okrutnego apokryfu? Przypomniała twarze mniszek w klasztorze, w których była szafarką świecą. Cóż, że zmieniła nazwiska? Cóż, że przemianowała bernardynki na bazylianki?

Arcimowiczówna, Brzozowska, Fewronia, Beldowska Aniela, Bystrzycka Magdalena... Tak, twarze ich zacierały się już w jej pamięci. Zadowolona była w tej chwili, nawet dumna ze swej pomysłowości, cóż? Te zatarte twarze mogą równie dobrze nosić nazwiska: Babiańska Kaliksta, Balińska Marta, Brochecka Aniela, Botwidówna Salomea...

Nie, nie wolno pamiętać o tym jak pewnego dnia, było to pod wieczór, jak dziś, ona, wdowa po oficerze rosyjskim Wińcu, była sądzona za oszustwo i pobita przez eskortującego ją strażnika. Ma jeszcze pręgi sine na plecach. Może każdemu pokazać. Skąd te pręgi? Ach, to oprawcy biskupa Siemaszki! Widzi ich jeszcze. A więc tamto oszustwo nie wydarzyło się nigdy, nigdy. Albo — gdzie jest ta kobieta, która płacząc i szamując zjawiała się u księdza Zubki, osiem lat temu? Podawała się za bazyliankę, która uciekała z klasztoru w Płocku za bernardynem. Ów bernardyn — snuła dalej opowieść — uwiódł ją, ale teraz chce grzech swój odpokutować, ona także... Poczuła w sobie na nowo płacz i spazmy tamtej kobiety.

W celi było już ciemno, dzwony na Anioł Pański oddalały się coraz bardziej w błękit olbrzymiego miasta. Księżni wiedziała, że teraz zacznie się długa noc bezsenności.

W kilka dni później papież, bawiąc w Pinakotece Watykańskiej, rozmawiał poufnie z księdzem Jełowickim.

— Matka Makryna co na to? — zapytał Ojciec Święty.

— Błogosławił przedsięwzięciu.

— Kto naczelnikiem legii? Godzę się jedynie na hrabiego Zamoyskiego.

— Niestety, nie ma go tu, wyjechał, mamy kłopot niemały, Wasza Świętobliwość.

— Jeśli macie jakiegóż innego, ale pewnego przywódcę, niech przyjdzie do mnie. Pobjęłowski chorągiew polską z orłem i krzyżem, choć wojny nikomu nie wydaje.

— Matka Makryna wstawia się gorąco za Mickiewiczem, ale to człowiek niepewny, jak to już Waszej Świętobliwości wyłożyłem.

— Pokazywano mi tu książeczkę jego pełną przewrotnych myśli którą świętobliwość poprzeknął mój potępił. Polski Lamenais...

— To człowiek porywczy i niepoetyczny.

Papież zamyślił się, jego tłusta twarz wyrażała rozgoryczenie i uwagę. Widać było, że pod pogodnym zazwyczaj czołem odbywała się praca myśli.

— Przyprowadź swego brata — rzekł na koniec — i kilku starszych, przyjmą deputację polską, lecz chorągwi nie pobjęłowski. Trzeba działać ostrożnie.

Kiedy pozostał sam, odsapnął i powiódł rozweselonym wzrokiem po marmurowych kolumnach i ozdobionym rozetami stropie Pinakoteki Watykańskiej. Lubił te związujące perspektywę stropy swoich pałaców. Coraz częściej zamykał się w samotności, broniąc się przed inwazją krzykliwej ulicy rzymskiej. Zawile sprawy polityki tu upraszczały się w linie i łuki mądrej i doskonałej architektury. Zdarzało się, że w pewnych godzinach przebywał duszą całą na jakimś skrawku marmuru, pieszcząc

oczyma jego gładkość i subtelną grę żyłek, albo na fragmencie starego obrazu, gdzie ciemnozielone drzewa ocieniały łagą pasterską i strumień. Były to miejsca spokoju, którego teraz zbliżając się do sześćdziesiątki pragnął przede wszystkim. Odwracał oczy od obrazów, wyobrażających kobiety. Myślał ze zrozumiem i prawie sympatią o surowym Grzegorzu XVI, po którym zasiadł na tronie papieskim. Podziwiał skrycie konsekwencję tego mnicha i jego nawiązanie do liberalizmu. Piusowi brakło własnej konsekwencji. Umiął się jedynie maszkować, nie z perfidii, lecz z obawy przed światem.

*

25 marca wieczorem deputacja polska poszła do Kwirynalu. Jeszcze w powietrzu drżały ostatnie dźwięki Ave Maria, gdy polscy delegaci wchodzili na schody marmurowe pałacu. Za Mickiewiczem szli: pułkownik Edward Jełowicki i brat jego ksiądz Jełowicki, ksiądz Hube, Orpizewski, Lubieński i Postępski, przedstawiciel Towarzystwa Demokratycznego. Pius IX czekał już na nich. Na jego twarzy obwisła nieco malowała się przywołana na tę chwilę łagodność, do ust przyłgał dobroliwy uśmiech.

Z widoczną wprawą wysunął spod białej tuniki czerwony pantofel wyszywany złotą nicią.

— Cieszę się, że widzę zjednoczonych Polaków, przedstawicieli różnych pryncypiów politycznych — mówił patrząc w oczy księdzu Jełowickiemu i jego bratu, Lubieńskiemu i Orpizewskiemu — stali w postawie pokornej, wzrok utkwiliwszy w pantoflu papieża, który przed chwilą ucałował.

— Błogosławieństwo moje dla Polski katolickiej, dla Polski rządnej pracy i zgody stanów. Błogosławieństwo — dla ludzi dobrej woli, dla cierpliwych i z pokorą dźwigających krzyż, który i my nosimy. Błogosławieństwo Polsce wiernej kościołowi i tradycji, benedico...

Z deputacji pierwszy wysunął się Mickiewicz i zaczął mówić spokojnie, płynną francuszczyzną, później podniósł nieco głos, niektóre wyrazy akcentując silnie. Mówił o długowiecznej wierności narodu polskiego dla Stolicy Apostolskiej, wspominał o sztandarach tureckich, które król Jan Sobieski przysłał do Rzymu. Sława Polski najbardziej jest chrześcijańska, gdyż Polska wycierpiała więcej niż wszystkie inne narody świata. — Spójrz, Ojciec Święty — mówił, na tę opuszczoną przez królów i przez ludzi, która umierała na swej Golgocie samotna. Była radość wśród tyranów, którzy myśleli, że Polska umierała i już nie wstanie. Ale Bóg jest miłosierny. Oto głos Piusa IX obudził Włochy. Godzina dla Polski wybiła.

Papież, gdy usłyszał swe imię wymówione przez tego Polaka, o którym słyszał, że jest człowiekiem porywym i prawdomównym, zadrżał. Wiedział już, że zacznie się teraz znane mu dobrze od dwóch lat kapłanowanie go dla sprawy rewolucji. Nie cierpiał mówców, którzy sławili go po to, by narzucać mu rolę, której nie tylko bał się, której nie pojmował. Jest jakaś niesłychana głupota i czelność — myślał — w tym robieniu ze mnie jakobina. Dlatego tylko, że nie jestem bezwzględny jak ten wielki mnich, którego oni lżą, nie rozumiejąc nawet prostego faktu, że siedzenie na tronie papieskim obowiązuje do jakiejś konsekwencji i wymaga innego zachowania niż gdy się jest na przykład Lamartinem... Uśmiechnął się mimo woli.

Ten uśmiech wziął widocznie Mickiewicz za dobry znak, bo ze zdwojoną energią mówił teraz, wołał prawie, żeby Pius IX, nie dbając o żadne względy, stanął na czele wielkiego ruchu ludów, żeby powiedział wreszcie światu, co myśli o despotyzmie, żeby potępił tych, którzy z podziału Polski uczynili prawo.

— Jeśli nie zrobisz tego, Ojciec Święty, jeśli nie staniesz na czele ludów powstających do życia, Bóg wybierze inne drogi i inne narzędzia. Krew zaleje bruki stolic europejskich — krzyknął prawie, i głos jego stał się w tej chwili ostrzy i nieprzyjemny.

Na twarzy papieża malowało się teraz wyraźne niezadowolenie. Obaj Jełowiccy, Orpizewski i Lubieński patrzyli z niepokojem i zgorszeniem na poetę. Postępski uśmiechał się złośliwie.

— Figlio, non stanto forte, alzate stropo la voce — rzekł papież. — Nie dla Polski uczynić nie możemy w tej chwili. Bądźcie cierpliwi i czekajcie! Spojrzał na Mickiewicza, zobaczył jego twarz czerwoną ze wzruszenia, jego oczy patrzące jak spod odchylonej przyłbicy, jego długie siwe włosy, spojrzał i wsunął na powrót wzrok w obwisłe powieki.

— Bądźcie cierpliwi i czekajcie... Jak echo powróciły te słowa, skądś jemu, Piusowi IX, znane. Ach, była to przecież tylko trawestacja słynnych i niepopularnych słów Grzegorza XVI. Zdawało się, że ponury cień jego stoi za krzesłem papieża.

— Lecz my nie możemy czekać, my cierpimy, Ojciec.

— Wiem, wiem, mówili teraz łagodniej papież. Opowiadały mi wasze panie, z najlepszych rodów waszych.

— Słyszaleś, Ojciec Święty, tylko komediantki salonowe. Gdybyś raz usłyszał jęk matki Polki, matki z ludu naszego, nie mógłbyś powiek zamknąć od tej chwili. Nie my, tylko wszystkie ludy domagają się, abyś Ty stał się zbawicielem.

Papież uśmiechnął się, choć właściwie nie była to pora na uśmiech, uśmiechnął się do własnych myśli. — Czego oni chcą ode mnie. Chcą ze mnie gwałtem zrobić Napoleona. Glupcy!

— Znam młodzież naszą — ciągnął dalej Mickiewicz głosem podniesionym. Ci ludzie mają zapal i wiarę. Święci są, do ofiar największych gotowi. Nie mają przewodnika. Papież, który stanie na czele młodych, ocali Kościół i ludzkość. Ręce twoje są czyste, bacz, aby nie poplamila ich krew.

— Nie groź mi, synu, te ręce, które podnoszą kielich z krwią Pańską, odpychają rozlew krwi niewinnych. Jeśli Polacy chcą Republiki, tym gorzej dla nich!

— Tym gorzej dla Kościoła, jeśli nie pobłogosławi szandarów wolności. Pobłogosław legion polski!

— Cóż to za legion i poci? Dowódcy nie macie. Hrabia Zamoyski, on jeden byłby zdolny pokierować wami, Polacy.

— Pułkownik Zamoyski jest przeciw sprawie wolności.

— Pułkownik Zamoyski jest wiernym synem Kościoła i prawdziwym patriotą.

— Pobłogosław sprawę wolności!

— Błogosławiłem legion włoskim, choć wojny sam nikomu nie wydałem. Chcieli iść na pomoc Lombardii, niech idą z Bogiem. Wojny nikomu nie wydałem, jakże mam błogosławić waszym szandarom? Jeśli chcecie iść tam, dokąd idą Włosi, porzucicie się z rządem, nie moja to rzecz.

— Z Monsignorem Corboli? — zapytał ksiądz Jełowicki.

— Dobrze, z Monsignorem Corboli — odpowiedział papież.

— Nie mamy czasu na rozmowy z posrednikami, to jest rzecz Boża!

— Nie unos się, synu, zapal twój jest szlachetny, lecz Pan nasz, pamiętaj, kazał oddać Bogu co boskie cesarzowi, co cesarskie. Nie mogę wydać wojny władcóm świata.

— Chrystus za prawdę dał się ukrzyżować — krzychał Mickiewicz głosem szorstkim, fałsetem ochrypłym.

— Piano, piano — rzekł papież Pius IX. Wtedy Mickiewicz podszedł nagle do zdumionego papieża i potrząsnął ręką jego, wołając:

— Wiedz, Duch Boży jest teraz w bluzach robotników paryskich!

Papież zbladł i zakrył oczy powiekami:

— Synu, zapominasz się, nie pamiętasz do kogo mówisz.

Orpizewski pociągnął Mickiewicza za poły surduta, aby się opamiętał. On jednak mówił dalej podniesionym głosem. Wtedy papież krzyknął i aż sam się zdumiał siłą swego głosu:

— Wyjdź! — i zadzwonił.

Weszła straż szwajcarska. Wtedy Mickiewicz wyszedł z podniesioną głową. Audyencja była skończona. U papieża pozostał tylko ksiądz Jełowicki i Hube.

*

Dziewczeta polskie z arystokratycznych domów pod przewodnictwem panny Odrowąż-Kusłówny szły i haftowały chorągiew Legionu. Matka Makryna czuwała nad tą robotą. Na czerwonym polu pod orłem i pogonią złotem dziergany napis: **ZA WIARĘ I WOLNOŚĆ**. Twarz Chrystusa odbita krwawo na chustce Weroniki: **CHRYSTUS ZWYCIĘŻY**. Po drugiej stronie twarz Matki Boskiej Częstochowskiej: **Królowo Polska przyczyn się za nami**. U samej góry: **Pius IX błogosławi odradzającą się Polskę**. Tak był sztandar Makryny. Podczas tych tygodni marcowych, gdy chorągiew rosła w oczach, gdy rozwijała się czerwienią, bielą i złotem, Mickiewicz zatroskany kłótniami o to, kto obejmie dowództwo nad Legionem, dręczony intrygą Zmartwychwstańców i arystokratów, którzy drżeli przed ruchem ludowym, zachodził wieczorami do owej białej sklepionej izby, gdzie jak w starym zamku polskim, panny szły chorągiew wojenną.

Panna Odrowąż, skłonna do egzaltacji, wodziła tutaj rej wśród dziewcząt, które śmiechem i piosenkami umilały sobie pracę. Były chwile gdy poeta przypominał tu, wśród wasolych panien, młodość swoją, która została gdzieś tam w dworach szlacheckich, w krajobrazach, na których zamiast słońca, leżało teraz zapomnienie.

Jedną z dziewcząt, wysoką, o włosach jasnych i suchych, zwinionych w loki, przypominała mu Joasię. W polu raz, podczas żniwa, ujrzał ją i ten obraz zapamiętał. Zapamiętał także głos jej, podobny do głosu Anny, przyjaciółki panny Odrowąż.

Śpiewała głosem silnym i czystym, jak niegdyś Joasia:

Powracajcie, cni rycerze!

— Gitary nie macie? — zapytał poeta i w tej chwili przypomniał sobie, że Joasia grała na gitarze. Po kilku latach stracił ją z oczu. Ujrzał ją znowu już jako żonę swego krewnego, Felicjana Mickiewicza. Jakże zmieniona! Twarz jej żółkła i wychudła, była to twarz tamtej? Ale teraz odmłodziła znów i wypiękniała w oczach i ustach dziewczyny, która urodziła się w trzydzieści lat po niej.

Chorągiew rozkwitała z dnia na dzień barwniej, ale nie ona miała doczekać się błogosławieństwa papieża, mimo że głosił je napis u góry. Inny sztandar miał powieść nad legionistami, pół biały z krzyżem czerwonym i pół czerwony z krzyżem białym. Na drzewcu tej chorągwi przybił Mickiewicz kopertę srebrną od swego zegarka, na której był wyryty biały orzeł.

Jeszcze panny pracowały nad chorągwią, kiedy któregoś dnia za oknami rozległ się tupot maszerujących oddziałów. Ochotnicy włoscy w zieleni i kwiatkach szli na pomoc lombardczykom. Wychodziły z Rzymu szeregi gwardii cywilnej z biciem bębnow i śpiewem na ustach. Czas naglił. Po wypędzeniu Austriaków z Mediolanu po pięćdziesięciu walce, Rząd Tymczasowy wezwał Polaków do broni. Jak ptaki wojny krążyły w Lombardii ulotki z litanią włoską: „Litani dei Pellegrini Lombardi”, która była naśladowana z „Litani Pielgrzymkiej” Mickiewicza.

Na Via dei Prefetti w mieszkaniu Edwarda Jełowickiego zebrali się kilkunastu pielgrzymów. Byli to przeważnie ludzie nie znający rzemiosła wojennego, artyści, adwoci sztuki, architektury, muzyki. Większość z nich opowiadała się za przewodnictwem Mickiewicza, mimo intryg Zmartwychwstańców i knoń reakcji arystokratycznej, która jedynie Władysława Zamoyskiego chciała mieć wodzem legionu.

Hrabia Lubieński protestował głośno przeciw innemu projektowi. Zamoyski, zausznik księcia Czartoryskiego, swego wuja, mile widziany przez papieża, był dla kleru i arystokratów najpewniejszym gwarantem dochowania wierności polityce antyrewolucyjnej i dynastycznej.

Mickiewicz — jak podaje pamiętnikarz*) — cały obłany karmazynem oburzenia przerwał Lubieńskiemu:

— Nie, nie i sto razy nie! Niech pan Zamoyski wpięć jako prosty żołnierz zmyje krew swoją plamę forytowania wuja swego na dynastję polską.

Na to Lubieński:

— Przekonanie polityczne ujmę nie przynosi.

— A więc ty — ze wściekłością zawołał Mickiewicz — panie Lubieński, który stanął jako zausznik Zamoyskiego, zmyj wprzód plamę zbrodnicstwa publicznego, jaką twój ojciec położył na czołe twoim.

Wtedy książę Jełowicki, który przewodniczył zebraniu, uderzył pięścią w stół:

— Nie godzi się syna za winę ojca piętnować!

Ale Mickiewicz tupnął nogą i zawołał:

— Ah, ty popie, jezuito! Deptałem was wszędzie, ale sukienkę odmieniwszy, z duszą jezuicką pod tysiącami postaci przychodzącie łowić ludzi. Zdepcę was!

I zwrócił się do młodych:

— Do was mówię, słuchajcie mnie, a zaktajcie uszy na te pnie spróchniałe!

Przerzucając Mickiewiczowi powstał znów Lubieński i ślepy z gniewu krzychał:

— Wara od naszej młodzieży herezykom i jakobinom! Wespój z chłopotem i lokajstwem iść przeciw szlachcie i księżom?

Nie powtórzy się czterdziesty i szósty! Lubieńskiego poparł Orpyszewski i obaj nacierali teraz nie dopuszczając do słowa opo-

*) Michał Budzyński „Wspomnienia z mojego życia”.



Ingres

Kaplica Sykstyńska

rentów. Mickiewicz, który stał zamyślony i milczący, nagle porwał się i czerwony z gniewu, wrzasnął:

„Widać, że was topór galicyjski niczego nie nauczył!” Po czym, wzburzony, opuścił wśród ogólnego milczenia zgromadzenie. Ale następnego dnia pielgrzymi w liczbie ewangelicznej dwunastu przybyli do mieszkania Mickiewicza prosząc go o przewodnictwo. Zawiazali się teraz zgodnie w zastęp, który miał być zaczątkiem armii formowanej na zasadach demokratycznych, aż do zasady wyborów włącznie.

Celem utworzenia legionu, jak opiewał Akt zawiązania zastępu polskiego był zbrojny powrót do kraju w połączeniu z bratnimi zastępami Słowian.

Zasada wyborów oparta była na tradycjach armii francuskiej z czasu Wielkiej Rewolucji.

Drugi akt określał podstawy polityczne i społeczne przyszłego ustroju Polski. Skład zasad legionu zawierał piętnaście artykułów.

Kiedy Mickiewicz odczytał ten akt prawodawcy przyszłego państwa polskiego, zapal ogarnął legionistów, którzy byli ludźmi młodymi i pełnymi wiary w słusność sprawy, o którą odtąd mieli walczyć. Ręce ich nienawykły do noszenia broni, miały przywyknąć do karabinu. Twarze opaliły miało słońce ziemi włoskiej, jak niegdyś twarze ich przodków.

Nie znaleźli w tej chwili innych słów nad te, które kiedyś z tęsknoty za zbrojnym czynem napisał Mickiewicz, teraz przywódca i naczelnik legionu. Ukłękli i powtarzali w skupieniu wojenną modlitwę pielgrzymstwa:

O wojnę powszechną za Wolność Ludów

Prosimy Cię Panie...

O broń i orły narodowe,

Prosimy Cię Panie...

O niepodległość, całość i wolność

Ojczyzny naszej

Prosimy Cię Panie.

Dzień 5 kwietnia 1848 roku był pogodny i ciepły. Promienie słońca padały widzialne prawie na piazza del Quirinale, zwanej monte Cavallo. Dioskurów, gwałtowni bracia spokojnych dioskurów kapitolin- skich, powstrzymują rozszalałe konie kute w marmurze. Spokój wieków umarłych ma w sobie obelisk Egipski. Fontanna szemrze. Tłum gapiów na dziedzińcu i w portykach Kwirynału oczekuje w milczeniu procesji. Porta-Pia jest prawie pusta.

Procesja z głową świętego Andrzeja posuwa się z wolna drogą do Świętego go Piotra.

Losy tej relikwii były osobliwe. Zdarza się o relikwii częściej nawet niż książkom, które w myśl przysłowia *habent sua fata*. Głowa świętego Andrzeja przywieziona do Rzymu za Piusa II, nieznaną zło- czyńca świętości skradł był z kościoła świętego Piotra, gdzie została złożona. Później znaleziono ją dzięki wskazówkom skruszonego złooczyńcy w piwnicy willi za bramą świętego Pankracego i przeniesiono do kościoła, który wziął był imię od imienia świętego, co kiedyś nosił tę skradzioną głowę. Teraz w uroczystej procesji, prowadzonej przez papieża, głowa wracała z prowizorycznego pobytu w kościele świętego Andrzeja della Valle do kościoła świętego Piotra. Pius IX szedł na czele orszaku kardynałów i biskupów w czerwonych i fioleto- wych szatach, biały i złoty w silnym blasku wiosennego słońca. Być może, myślał teraz o dziwnych drogach swego życia. Ze wszystkich dróg ta, którą posuwała się procesja z głową świętego, była najprostszą. Gdyby wszystkie mogły być tak proste i jasne! Giovanni Maria Mastai nie lubił ostrych skrętów i sytuacji, które wymagały decyzji. Jako biskup oddawał się ceremoniom i obrządkom z gorliwością, i można by powiedzieć, z zamiłowaniem. Teraz nudziły go już uroczystości, przestał

go cieszyć powtarzający się okrzyk tłumów „Evviva il santo padre”. Bał się nadmiernej popularności, wiedział bowiem, że popularność ta oparta jest na błędnym mniemaniu ludu o jego liberalizmie i sympatiach dla reform rewolucyjnych. Niedawne manifestacje ludu rzymskiego, który widział w nim swego rzecznika, przerażyły go nie mniej od upadku Ludwika Filipa. Amnestia dla wszystkich więźniów politycznych ogłoszona przez papieża przed blisko dwoma laty, zjednała mu serca wielu, nawet wrogów. Angelo di Vaticano mówiła o nim ulica. Ale wydarzenia późniejsze kazały papieżowi słuchać tych głosów ze wzrastającym niepokojem. — Chęć ode mnie czynów, do których nie jestem zdolny, brak mi sił i geniuszu — myślał teraz, stąpając wolno w majestatycznym pochodzie. Wypadki sprawiły, że dał się podejść. Trudno będzie wycofać się, ale trzeba. Nie po- chwalam mordu, nienawidziłem rewolucji — i oto co ze mną uczyniły wypadki. Pio Nono — wódz rewolucji ludowej. To śmieszne i nieprzyzwoite — myślał ze zgrozą, choć twarz jego wyrażała tylko uprzejmą obojętność. Mazzini, ten głupiec! jemu za- wdzęcam połowę laurów, trybun ludu, demagog!

Nie z tych myśli nie przedostało się do tłumów patrzących na procesję. Patrzyli one z zachwytem na wspaniałą rzeczywistość re- wiw kolorów i twarzy. Pod lazurowym nie- bem wśród białych budynków, plastyka po- stępujących w orszaku ceremonialnym była uderzająca, jak na obrazach mistrzów. Wysokie infule biskupów, białe i złote ko- lysały się na czele procesji, mienią się wszystkie odcienie purpury, czerwieni i fio- letu. Twarze żrzane, nadmierne blade lub koloru piwonii, usiłowały wyrażać pokorę i światobliwość. Cienie na gładkiej posadz- ce bruku zwiększały jeszcze poczucie trój- wymiarowości ciał i przedmiotów. Głowa świętego zamknięta w skrzyni wysadzonej drogi- kami kamieniami ciągnęła oczy gawiedzi, którą nęci zawsze zabobon i sensacja. Szły chorągwie wszystkich państw wło- skich, szedł oddział Polaków, których pro- wadził człowiek w stroju pielgrzyma, z głó- wą okoloną długimi siwymi włosami. Pol- ska chorągiew po raz pierwszy od czasu legionów Dąbrowskiego na tej ziemi pod- niesiona publicznie, zwracała uwagę ludu rzymskiego. Była to chorągiew na której po jednej stronie widniał napis: *Pierwszy za- stęp polski*, po drugiej: *Słowaństwo*. Lek- ki wiatr marszczył jej czerwoną połowę z krzyżem białym i białą z krzyżem czerw- nym. Niośli ją uczeń Mickiewicza, nazwi- skiem Gierycz.

„Ciągłem szedł pierwszy — pisał później Mickiewicz — i z naszą chorągwią staną- lem u grobu Piotra Świętego”. Rzeczywi- ście stanął wraz ze swoim oddziałem i z chorągwią u ołtarza, lecz nie bez trudności, gdyż już u wejścia do kościoła Świętego Andrzeja policja papieška zagroziła cho- ragwi polskiej drogę do wnętrza świąty- ni. Mickiewicz energicznym zachowaniem zdołał wtedy przełamać opór policjantów. Gdy Polacy weszli na dziedziniec Świętego Piotra, nikt już im nie zagroził drogi.

Miejsce honorowe na czele pochodu cho- ragwi stowarzyszeń włoskich zawdzięczał Polacy nie protekcji papieża, lecz chytre- mu mistrzowi wszystkich ceremonii papie- skich Brunettiemu, wczoraj właścicielowi sklepu winnego, dziś trybunowi ludu i za- usznikowi papieża. Ów Brunetti, przezwany żartobliwie ciceronikiem — Ciceracchio, miarkował zapal poetę z taktem i dobrym skutkiem.

U ołtarza papież błogosławił głową świę- tego Andrzeja chorągiew polską.

Mieczysław Jastrun

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

ROMA LOCUTA

IST PASTERSKI Piusa XII do biskupów niemieckich, w którym znalazło się zalecenie zwrotu Ziemi Odzyskanych — Niemcom, nie powin- winien był zaskoczyć opinii pol- skiej. List ten bowiem nie jest jakimś szcze- gólnym i nieoczekiwanym wystąpieniem Watykanu na rzecz niemieckiego rewizjoni- zmu, lecz stanowi kolejne ogniwo łańcucha głośnych i ostentacyjnych aktów, świad- czących o pro-niemieckiej linii powojennej polityki watykańskiej. List papieński z dnia 1 marca 1948 r. nie był niespodzianką ani w perspektywie historycznej lat ostatnich, ani z punktu widzenia doświadczeń dziej- owych narodu polskiego na przestrzeni 150 lat naszych walk niepodległościowo-wyzwo- leńczych: ilekroć — począwszy od insurek- cji kościuszkowskiej — naród nasz zrywał się do dzieła czynnej rewidykacji nieprze-

dawnionych praw wolnościowych, tylekroć z wyżyn Stolicy Apostolskiej rozlegał się głos wrogości i potępienia — przeciwko Polsce, a na rzecz zaborców.

Tak było w r. 1794, 1831, 1848, 1864, 1905, tak było podczas pierwszej wojny światowej i po jej ukończeniu, gdy polska racja stanu zwalczać musiała wśród wielu innych prze- szkód — opory i sprzeciw Watykanu, — nie inaczej ułożyły się stosunki w latach inwazji hitlerowskiej na Europę i po jej odparciu, aż do dnia dzisiejszego.

Odrodzona Polska Demokratyczna nie cieszy się stanowczo sympatią i poparciem Watykanu, mimo że publicznie katolicy w Polsce starają się gorliwie wmówić w nas coś przeciwnego. Jednym z wielu dowodów tej niechęci jest fakt, że Watykan, na rów- ni z paroma innymi faszystowskimi, pół- faszystowskimi państwami Europy, nie

uznał dotychczas legalnego Rządu Rzeczy- spolitej, utrzymując nadal oficjalne sto- sunki z tzw. rządem londyńskim. Ten fakt — to rama polityczna, w której doskonale mieszczą się wszystkie nieprzyjazne Polsce wystąpienia Watykanu, aż do listu Piusa XII z d. 1 marca br. włącznie.

Oczywiście, istnieje szereg przyczyn, któ- re każą dyplomacji watykańskiej tak wła- śnie, a nie inaczej kształtować swe poglą- dy na sprawy polskie w ogóle i na kwe- stię naszych granic zachodnich w szcze- gółności. Pierwszą choć zapewne nie naj- ważniejszą — jest tu przyczyna natury prestiżowej: Watykan czuje się dotknięty wypowiedzeniem konkordatu przez Rząd Rzeczypospolitej w r. 1945, choć z dziwną łatwością zapomina że ten konkordat zo- stał pogwałcony i przekroczony jedno- stronnie przez Watykan już w latach woj-

ny, m. in. przez samowolne nominacje bi- skupów niemieckich na diecezje, które by- ły terytorialnie przed wojną częścią Pań- stwa Polskiego. Przyczyna druga — to oba- wa, że wskutek zmian ustrojowych i spo- łeczno-gospodarczych w Polsce powojen- nej, kler katolicki utraci część swych wpływów i pozycji politycznych, wskutek czego stanie się mniej dogodnym i skutecz- nym narzędziem realizowania polityki wa- tykańskiej w naszym kraju. Przewidując tego rodzaju straty i trudności na terenie polskim, Watykan szuka rekompensaty tam, gdzie w danym układzie warunków najłatwiej znaleźć ją można; szuka rekompensaty w Niemczech, prawiać nieprzer- wanie o „ojcowskiej miłości” papieża dla „najboleśniej dotkniętego” narodu niemie- ckiego, podtrzymując i rodmuchując re- wizjonizm niemiecki, usiłując z kwestii gra-

niczne stworzyć poważny atut — dla zastrzeżenia strony polskiej, dla zjednania sobie — niemieckiej.

Trzecia wreszcie i bodajże najgłośniejsza przyczyna jawnie nieprzyjaznej postawy Watykanu wobec Demokratycznej Polski — to bardzo efektywne związanie się polityki Watykanu z imperializmem amerykańskim, czego jaskrawym dowodem był ich sojusz wyborczy we Włoszech. Warto przypomnieć, że ogłoszenie listu Piusa XII do episkopatu niemieckiego zbiegło się niemal w czasie z uśloynymi wojzami p. Myrona Taylora, wysłannika prez. Trumana, pomiędzy Madrytem, Lizboną a Watykanem. W prasie światowej ogłoszono ostatnio sporo informacji na temat całkiem sprecyzowanego „porozumienia” między Watykanem a Waszyngtonem. Istotą tego układu ma być wspólne zwalczanie „niebezpieczeństwa komunistycznego” na całym świecie, moralne poparcie Watykanu dla dążeń międzynarodowej polityki USA i nawzajem pomoc USA w utrwalaniu i rozszerzaniu pozycji katolicyzmu, gdziekolwiek mogłyby one być zagrożone. Wiemy, że stosunek oficjalnej polityki amerykańskiej do sprawy granicy polsko-niemieckiej jest pełen rezerwy i zastrzeżeń, czemu wyraz dawał niejednokrotnie i p. Byrnes i p. Marshall. Ta postawa USA obowiązuje — rzecz jasna — również wszystkich jego sojuszników i satelitów. Takie są polityczne kulisy wystąpienia Piusa XII z dn. 1 marca br.

Wypada teraz omówić i zanalizować reakcję polskiej opinii katolickiej na ten antypolski w treści i tendencji dokument, w którym nie powiedziano właściwie nic nowego, podkreślając jedynie ze szczególną i konkretną stanowczością to, co dotychczas osłaniane było ogólnikami papieskiego „zału”, „ubolewania”, „troski” czy „nadziei”.

W ciągu trzech tygodni od chwili ogłoszenia pierwszych wiadomości o liście Piusa XII, polska prasa katolicka nie odezwała się ani słowem — niewątpliwie skonsternowana i zaniepokojona, grająca na zwłokę i przeczekanie, w nadziei, że następny może jakieś wyjaśnienie czy komentarz, które złagodziłyby sens wystąpienia. Gdy się to nie zdarzało, po trzech tygodniach trudno już było milczeć dalej. Zabrały głos bynajmniej jednak nie wszystkie pisma katolickie, których jest w Polsce ze dwa tuziny. Odezwały się jedynie

— tygodnik „Dziś i Jutro” oraz codzienne „Słowo Powszechne”. Gdy się zaś już odezwały, nie mogły nie stwierdzić, że „musimy się sprzeciwić jakimkolwiek wysuwającym obecnie propozycjom rewizji naszych granic zachodnich”, gdyż „Ziemia Zachodnie wróciła do Polski jako akt dziejowej sprawiedliwości i stanowi jedyną gwarancję dla Polaków, że zbrodnie niemieckie się nie powtórzą” („Dziś i Jutro” Nr 19).

Bardzo słusznie. Szkoda jednak, że obydwie czasopisma katolickie, które odważyły się wreszcie zabrać głos w tej sprawie, osłabiły swą słuszną postawę skwapliwym zapewnieniem, iż złudzeniem jest sądzić, „aby jakiegokolwiek różnice w rzeczach doczesnych mogły w czymkolwiek osłabić totalnie posłuszeństwo religijne każdego katolika wobec Zastępcy Chrystusa na ziemi”. Takie kazuistyczne rozgraniczenie wydaje się nam nieistotne i zawodne. Nie chodzi już o to, że „Zastępca Chrystusa na ziemi” zbyt często i raczej niepotrzebnie przemawia urbi et orbi właśnie w sprawach doczesnych — ważniejszy jest fakt, że wszelkie wystąpienia papieskie, bez względu na ich treść podkreślone są wagą aurytety moralno-religijnego, który z natury swej nigdy nie może być ignorowany czy lekceważony przez „totalnie posłusznych” Watykanowi katolików.

Ale nie w tym leży punkt ciężkości, czy raczej punkt słabości, odpowiedzi naszej prasy katolickiej. Najważniejsze jest to, że ta prasa, nie chcąc dostrzec istotnych źródeł politycznych listu papieskiego, winę za jego treść zwała po prostu na nieporozumienie, biorące rzekomo początek z braku dokładnych informacji Watykanu o Polsce. W związku z tą niezmiennie kruchą hipotezą, nasi publicyści katolicki zalecają „uaktywnienie kontaktu informacyjnego z Rzymem” i wzywają polską hierarchię kościelną, by energiczniej i skuteczniej niż dotychczas broniła interesów Polski w Watykanie.

Ten apel — to wzór odwiecznej recepty: „od papieża źle poinformowanego o papieżu poinformowanego lepiej”. Tylko, że recepta, która mogła być skuteczna wówczas, gdy podróż do Rzymu poszczególną kanoniką trwała kilka miesięcy, musi się wydać dziwną i nawet śmieszną w epoce radia i międzynarodowych ekspresów kolejowych, z których dość często przecież korzystają nasi dostojnicy kościelni w podróży do Watykanu. Pomawiać dziś Watykan o nieświadomość polityczną jest u-

ną naiwnością, tak samo jak za naiwność uważać należy wmawianie polskim kardynałom i biskupom, że mogliby na watykańskich audiencjach osiągnąć więcej, niż — potrafią. Takie sposoby „tłumaczenia” listu Piusa XII są typową obroną zlej sprawy; toteż argumenty używane przez obrońców, jako liche i wykrętne, nikogo nie przekonają i faktycznego stanu rzeczy nie zmieniają ani na jotę.

Tygodnik „Dziś i Jutro” — mniejsza o to, czy rozmyślnie — oddał dobrą usługę samej sprawie, przytaczając dosłownie parę fragmentów z listu, znanych dotychczas tylko w streszczeniu. Oto jeden z nich:

„W czasach, kiedy działaliśmy w waszej ojczyźnie — pisze Pius XII do biskupów niemieckich — mieliśmy sposobność poznać wiarę katolików we Wschodnich Niemczech (podkreśl. nasze). Jest w Nas żywe jeszcze wspomnienie pobytu we Wrocławiu w r. 1926 i dumę wzbudzały przeglad niemieckiego katolicyzmu, który w rzeczy samej był przeżyciem katolicyzmu we Wschodnich Niemczech... jak to wyraziliśmy wtedy szlachetnemu kardynałowi Bertramowi. Tylko z bólem możemy teraz ten dzień wspominać w świetle strasznych wypadków, które potem ludność Wschodnich Niemiec nawiedziły”.

Ze „szlachetny kardynał Bertram” był notorycznym germanizatorem i polakożercą, o tym nawet wspominać nie warto. Trzeba natomiast podkreślić, że w trzech zdaniach przytoczonego tu fragmentu polskie Ziemię Odzyskane trzykrotnie nazwane zostały — „Wschodnimi Niemcami”. Ponieważ we wszelkich enuncjacjach papieskich każde słowo jest dokładnie przemyślane, odmierzane i zważone, ta nomenklatura ma niedwuznaczną wymowę polityczną i dowodzi, że Watykan nie uznaje naszych zmian terytorialnych na Zachodzie i liczyć się z nimi nie zamierza.

Obok omówionych tu głosów dwóch czasopism katolickich, wypada też wspomnieć o uchwale Zarządu Głównego Stronnictwa Pracy, które — jak głosi jego oświadczenie — „z racji swojej tradycji i założeń ideowo-programowych gromadząc w swoich szeregach organizacyjnych poważną część społeczeństwa katolickiego, czuje się szczególnie upoważnione i zobowiązane do zajęcia stanowiska w tej bolesnej sprawie”. Stanowisko Stronnictwa Pracy, sformułowane w uchwale jest ana-

logiczne do stanowiska zajętego przez publicystów katolików, odznacza się jednak nieco większą jasnością i stanowczością.

Prócz wyrazów „ubolewania” i „głębokiego bólu” z powodu listu Piusa XII, pobrzmięła tu również ton rozczarowania, że z tego rodzaju oświadczeniem wystąpiła właśnie Stolica Apostolska, „skąd społeczeństwo polskie miało prawo i spodziewało się usłyszeć słowa otuchy i wiary w skuteczność i celowość swojego ogromnego wysiłku w ciężkiej pracy dźwignięcia się z ruin i ran wojennych”.

Uchwała Stronnictwa Pracy również apeluje do polskiej hierarchii kościelnej, by zechciała „wykorzystać cały swój wpływ na terenie Stolicy Apostolskiej w kierunku całkowitej zmiany stanowiska”. Deklaracji o „totalnym posłuszeństwie” Watykanowi w uchwale Stronnictwa Pracy nie ma. Zwraca natomiast uwagę charakterystyczny na jej stylizację, nie znajdujemy tu bowiem ani razu słów: „papież” lub „Pius XII”, które zastąpione zostały eufemistycznym — „Stolica Apostolska”.

Nie wiemy, co myśli i co czynić zamierza polska hierarchia kościelna w sprawie listu Piusa XII do biskupów niemieckich. Faktem jest, że ta hierarchia milczy dotychczas jak zaklęta, nie bacząc na apele, płynące pod jej adresem ze strony katolików świeckich. I to milczenie ma swą wymowę, zaś jej tenor nie przysparza splendoru milczącym i nie świadczy o niezależności ich polskiego sumienia. „Totalne posłuszeństwo” dla Watykanu i polska racja stanu ścierały się nie raz z sobą na drogach naszej historii. Gdy pierwsze odnosiło triumf, znaczyło to zwykle klęskę dla Polski.

Dziś o takim triumfie mowy już być nie może. Kontrpartnerek Watykanu w jego rozgrywkach politycznych jest dziś bowiem nie garstka ambitnych ksiąg Kościoła i wielomów świeckich, lecz cały naród polski, świadom linii granicznej między religią i wiarą a machinacjami wstecznych sił, posługujących się dla celów bardzo przyziemnych szatą pontyfikalną. „Roma locuta — causa finita”, „Rzym powiedział — sprawa skończona”, mawiano ongi, w epoce politycznej wszechwładzy papieństwa.

Dzisiaj — gdy chodzi o sprawę granicy polsko-niemieckiej — zmodyfikujemy to stwierdzenie: Sprawa tej granicy jest — w myśl interesów Polski — ostatecznie przesądzona, mimo, że Rzym orzekł — inaczej.

Bolesław Dudziński

JURIJ TYNIAŃOW

O EWOLUCJI LITERACKIEJ*)

W porównaniu z innymi dyscyplinami humanistycznymi historia literatury wciąż jeszcze znajduje się w sytuacji kraju kolonialnego. Z jednej strony — panuje w niej w znacznej mierze psychologizm indywidualistyczny (szczególnie na Zachodzie), — w tym wypadku zagadnienia literackie zastępowane są w sposób nieadekwatny i nieprawomocny problemami psychologii twórczości, a kwestia ewolucji literackiej — kwestia genezy literackich zjawisk. Z drugiej strony — prymitywny kauzalizm przy rozpatrywaniu formacji literackiej prowadzi nieuchronnie do izolacji punktu, z którego te formacje się rozpatruje — od samej badanej formacji. Wszelkie zaś próby konstrukcji zamkniętego szeregu literackiego i rozpatrywania jego wewnętrznej ewolucji — natykają się raz po raz na odgaślenie sąsiednich kulturalnych — i (w szerszym sensie) społecznych szeregów, co rzecz jasna skazuje owe próby na niepowodzenie. Teoria wartościowania w literaturoznawstwie zrodziła niebezpieczeństwo uwypuklenia wyłącznie głównych — a tym samym izolowanych — zjawisk, co sprowadza historię literatury do roli swego rodzaju „historii generatów”. Słaby opór przeciw tej ostatniej doprowadził z kolei do studiów wyłącznie nad literaturą masową — bez jasnej teoretycznej znajomości metod badawczych i bez jasnego uświadomienia sobie jej charakteru i znaczenia.

Wreszcie — kontakt historii literatury z żywą literaturą współczesną — kontakt, dla nauki ważny i pożyteczny — nie zawsze bywa, jak się okazuje, równie pożyteczny i ważny dla literatury w trakcie rozwoju, której przedstawiciele gotowi bywają uznać historię literatury za kodeks tych czy innych norm tradycyjnych i przykazań, a konstatację „historyczność” pewnego zjawiska literackiego sądząc, że tym samym uczynili zadość zasadzie „historyzmu” w literaturze. W rezultacie tego ostatniego konfliktu daje się zaobserwować dążenie do rozpatrywania dzieł literackich i zasad ich budowy w oderwaniu od podkładu historycznego.

2. Aby stać się nareszcie nauką historia literatury musi pretendować do wiarygodności.

*) Jurij Tyniańow (1894 — 1944) wybitny rosyjski krytyk i teoretyk literatury z okresu formalizmu, autor pracy „Zagadnienie języka poetyckiego” i zbioru esejów „Archaizmi i nowatorzy”. — Drukowane przez nas studium porusza o zamkniętym już okresie w dziedzinie badań teoretyczno-literackich, zachowało jednak trwałe znaczenie, jako pozycja w ich rozwoju.

ści. Należy poddać ostrej kontroli wszystkie terminy, którymi się ona posługuje, a przede wszystkim sam termin — „historia literatury”. Jest on nadzbyt szeroki, obejmuje i historię materialną literatury pięknej, i historię piśmiennictwa w ogóle; jest przy tym pretensjonalny, ponieważ „historia literatury” awansuje tu ryczałtem i a priori do godności i dyscypliny, gotowej znaleźć się w ramach ogólnej historii kultury w charakterze naukowo spreparowanego szeregu. Jak dotychczas — nie ma jeszcze na to prawa.

Co się dotyczy badań historycznych, to dzielą się one co najmniej na dwa najważniejsze typy w zależności od punktu widzenia: na badania genezy zjawisk literackich i badania ewolucji formacji literackiej.

Tu kąt widzenia determinuje nie tylko znaczenia, ale i charakter badanych zjawisk: problem genezy przy rozpatrywaniu zagadnień ewolucji literackiej ma właściwie dla siebie znaczenie i charakter — oczywiście, nie te same co przy badaniu samej genezy.

Dalej, badacz ewolucji (czy też zmienności) w literaturze winien zerwać z wartościowaniem materialnym, będącym rezultatem błędnej obserwacji: jakże często wartościuje się pewne zjawiska umiarkowanie w danej epoce, posługując się kryteriami właściwymi dla zupełnie innych okresów...

To samo dotyczy i takich — wartościujących, jak dotychczas, pojęć jak „dyletanizm”, „epigonizm” czy też „literatura masowa”.

Tak charakterystyczne i zasadnicze dla dawnej historii literatury pojęcie „tradycji” okazało się nieprawomocną abstrakcją, wyodrębnieniem pewnej liczby elementów literackich ze wspólnego im układu, w którym uczestniczą one w tym samym „emploi” pełniącym tę samą funkcję oraz skojarzeniem ich z „takimi samymi” elementami innego układu, w którym grają one zupełnie inne role, tak że w rezultacie powstaje całość fikcyjna, tylko na pozór jednolita.

Podstawowym pojęciem ewolucji literackiej jest pojęcie zmiany układów (systematów literackich), a zagadnienie „tradycji” zostaje przemienione na zupełnie inną płaszczyznę.

3. By móc ten zasadniczy problem poddać odpowiedniej analizie, musimy założyć, że utwór literacki jest pewnym systemem, strukturą podobną jak i cała literatura. Tylko pod tym warunkiem literaturoznawstwo może stać się nauką i to nie rozpatrując ją li tylko chaos różnorodnych zjawisk i szeregów lecz badając je. Zagadnienie roli szeregów sąsiadujących w procesach

ewolucji literackiej bynajmniej przez to nie ulega skasowaniu, ale przeciwnie — stawia na porządku dziennym.

Warto było zanalizować gruntownie poszczególne składniki utworu, watek (suje) i styl, rytm i składnię — w prozie, rytm i semantykę — w poezji itd. aby przekonać się, że wyodrębnianie każdego z nich dopuszczalne jest w pewnej mierze jako hipoteza robocza, lecz że wszystkie one są korelatami, że są współzależne i współczynne.

Badania nad rytmem w poezji i prozie wykazują, że ten sam element pełni zupełnie różne funkcje w różnych systemach.

Wzajemną zależność każdego składnika utworu literackiego od innych składników — a więc i od całości układu — nazywam funkcją konstruktywną danego elementu.

Przy dokładniejszym rozpatrzeniu okazuje się, że owa funkcja jest pojęciem złożonym. Element koreluje jednocześnie z pewną liczbą podobnych elementów innych utworów, a nawet innych szeregów — z jednej strony, a z drugiej — z innymi elementami danego utworu.

Tak np. korelatami słownictwa danego utworu są — z jednej strony — i słownictwo literackie i słownictwo potoczne danej epoki, z drugiej zaś — wszystkie inne elementy utworu. Oba te komponenty, a właściwie — obie te funkcje nie są równorzędne.

Funkcja archaizmów zależy np. całkowicie od systemu (i charakteru kontekstu), w którym są one użyte stale w systemie komonowsowa pełnią one funkcję „uwznioślającą” ponieważ w systemie tym rolę dominującą gra zabarwienie leksykalne, archaizmy kojarzą się tu lekceważnie z terminami cerkiewnymi, liturgicznymi.

W systemie Tłustezowa zaś archaizmy pełnią inną funkcję, w szeregu wypadków mają charakter oderwany (miast „fontanny” — „wodytryski”).

4. Czy możliwe jest tzw. „immanentne” rozpatrywanie utworu, jako pewnego systemu, bez względu na jego wzajemnie uzależniony stosunek do całości literatury? Jest to chwyt tak samo wyodrębniający jak i oderwane rozpatrywanie poszczególnych elementów utworu. W zastosowaniu do utworów współczesnych krytyka posługuje się tym chwytami na każdym kroku — i bez skrupułów, — ponieważ związek utworu współczesnego z literaturą współczesną rozumie się „sam przez się” i nie wymaga podkreślenia, jako dany niejako z góry. Dotyczy to zarów-

no związku utworu z innymi dziełami danego autora jak też zależności utworu od specyfiki gatunku literackiego. Jednakże, nawet w zastosowaniu do literatury współczesnej, metoda wyodrębniania jest nie do przyjęcia. Istnienie faktu literackiego, jako takiego, zależy od stopnia jego różności innych (tj. — od stosunku bądź do literackiego, bądź też do poza-literackiego szeregu), innymi słowy — od jego funkcji. To, co dla jednej epoki jest faktem literackim, to dla innej — będzie elementem mowy potocznej — i na odwrót, w zależności od systemu literackiego, w którym dany fakt ma miejsce.

Tak np. listy Dzierżawina są faktami o charakterze obyczajowym, praktycznym, listy zaś epoki Karamzina czy Pużkina — są faktami literackimi. Por. — „literackość” pamiętników w jednym systemie literackim i poza-literackość ich w innym.

Rozpatrując utwór sam w sobie, w oderwaniu, nie możemy mieć pewności, czy to co mówimy o jego konstrukcji jest słuszne. I jeszcze jedno: auto-funkcja, tj. korelacja i współmierność każdego elementu z szeregiem innych elementów, składających się na inne struktury i szeregi, warunkuje sobą współfunkcję — tj. funkcję konstruktywną danego elementu.

Dlatego też nie jest rzeczą obojętną, czy któryś z elementów utworu jest „szary”, „ograny”, lub zgoła „wyświechtany”. Czym jest w gruncie rzeczy owa „szarzyzna”, „banalność” wiersza, metru, waktu itd.? Innymi słowy — na czym polega „automatyzacja” tego czy owego elementu?

Pozwolę sobie przytoczyć przykład z dziedziny lingwistyki: gdy „zaciera się” treść pojęcia, wówczas słowo, będące owego pojęcia wyrazem, staje się wykładnikiem li tylko stosunku, gra rolę słowa posilkowego; mówiąc inaczej — ulega zmianie jego funkcji. Ten sam proces ma miejsce w wypadku „automatyzacji” przy „spłowieniu” jakiegokolwiek elementu literackiego; element taki nie zanika, a jedynie funkcja jego przedzierga się w posilkową. Jeżeli metr, użyty w wierszu jest wyświechtany, to jego kosztom zyskują na znaczeniu inne znaki szczególne wiersza i inne elementy danego utworu, sam on zaś zaczyna spełniać nowe funkcje.

Tak, np. felieton wierszowany w gazecie pisany bywa zazwyczaj wierszem oklepianym, opartym na banalnym metrze, od dawna już niestosowanym w poezji. Jako „wiersz” jako człon szeregu „poetyckiego” utwór taki w ogóle nie wchodzi w grę. Banalny metr

jest tu jedynie środkiem, przy pomocy którego aktualny, powszedni, gazetowy materiał zostaje wprowadzony, przemyczony niejako, do szeregu literackiego. Funkcja metru jest tu zupełnie inna, niż w dziele poetyckim, ponieważ gra on w tym wypadku rolę posilkową, nierównorzędną. Podobnie rzecz się ma z „parodią”, stosowaną jako chwyt w felietonach wierszowanych. Parodia ma literacką rację bytu tylko o tyle, o ile żywy jest literacko utwór parodiowany. Jakież znaczenie literackie może mieć tysiącna z kolei parodia wiersza „Kiedy faluje niwa złości...” Lermontowa, czy „Proroka” Puszkina? A jednak — felieton wierszowany raz po raz się tym ograniczonym chwytom posługuje. Zachodzi tu analogiczny proces: parodia pełni tu funkcję posilkową, służy dla **szczeplenia** faktów pozaliterackich szeregowi literackiemu.

Jeżeli tzw. proza tematyczna (narracyjna, fabularna) jest „mało wyrazista”, to fabuła pełni całkiem inne funkcje niż wtedy, gdy w danym systemie literackim ten rodzaj prozy jest „wyrazisty”, tzn. nie automatyzowany. W pierwszym wypadku fabuła może jedynie motywować charakter stylu, bądź kompozycji. Weźmy pierwszy z brzegu przykład: opisy przyrody spotykane w starych powieściach, w ramach utartego systemu literackiego, skłonni jesteśmy uważać za czynnik posilkowy, służący jako spoiwo, bądź jako środek retardacji (co pozwalało nam nieraz takie opisy przy lekturze przepuszczać), podczas gdy podobne opisy w obrębie innego systemu literackiego mamy podstawy uważać za faktor główny, dominujący, ponieważ możliwa jest i taka sytuacja, przy której fabuła jest jedynie usprawiedliwieniem, pretekstem dla ekspozycji „opisów statycznych”.

5. Podobne rozstrzygnięcie znajduje także kwestia bodajże najtrudniejsza, najmniej zbadana — problem gatunków literackich. Powieść, która zdaje się być rodzajem jednolitym, podległym na przestrzeni wieków zmianom li tylko immanentnym, jest — jak się okazuje gatunkiem niejednolitym, niejednokrotnym, o składzie niestałym, zależnym od kolejnych zmian systemów literackich; w powieści stosowana bywa coraz to inna metoda wprowadzania do literatury pozaliterackich materiałów językowych; same wreszcie cechy gatunkowe powieści ulegają zmianom. W systemie literackim 20—40-tych lat zeszłego wieku zupełnie inne niż obecnie kryteria stosowane były dla charakterystyki gatunków „powieści”, „noweli” itd. Jesteśmy obecnie skłonni gatunkować utwory według ich cech wtórnych, następujących — z grubsza biorąc — w zależności od rozmiarów. Miano „noweli”, „opowiadania”, „powieści” nadajemy zależnie od ilości arkuszy druku. Jest to dowodem nie tyle „automatyzacji” gatunku w naszym systemie literackim, ile raczej przemian, które każą nam gatunkować utwór w zależności od zupełnie innych jego cech. Rozmiary dzieła, jego rozciągłość literacka — są to zresztą cechy wcale nie objęte. Co się zaś tyczy utworów, branych w izolacji od systemu, to w ogóle gatunkować ich nie można; to, co zwało się oda w 20-tych latach XIX wieku lub w epoce Feta — nosiło to miano z uwagi na zupełnie inne niż w epoce Łomonosowa cechy. Na podstawie powyższego konkluduje: oderwane rozpatrywanie gatunków literackich ignorujące cechy charakterystyczne odpowiedniego systemu stylistycznego, jest niedopuszczalne. Powieści historyczne Tolstoja łączy stosunek zależności wzajemnej nie z powieściami historycznymi Zagorskina (popularny powieściopisarz dwudziestych i trzydziestych lat zeszłego wieku — przyp. tłum.) — lecz ze współczesną samemu Tolstojowi prozą.

6. ściśle rzecz biorąc — bez uwzględnienia faktu korelacji zjawisk literackich nie może być mowy o ich rozpatrywaniu. Tak ma się sprawa np. z problemem prozy i poezji. Wyrażamy milczącą zgodę na nazywanie prozy rytmicznej — prozą, a nierytmicznej wiersza wolnego — wierszem, nie zdając sobie sprawy z tego, że w ramach innego systemu literackiego moglibyśmy się znaleźć w sytuacji dwuznacznej. Rzecz w tym, że pojęcia prozy i poezji warunkują się wzajemnie, a granice każdego z nich są wspólną funkcją i wiersza i prozy.

W przyjętym ogólnie systemie literackim funkcja wiersza pełni formalny pierwiastek metru.

Jednakowoż — w miarę różnicowania się i ewolucji prozy — wiersz również ulega przemianom. Dyferencjacja jednego z korelatów pociąga za sobą albo — mówiąc ściślej — połączona jest z dyferencjacją drugiego. W ten sposób powstała proza rytmiczna (np. Andrej Bielyj). Związane to jest z przeniesieniem funkcji wiersza w poezji z metru na inne — często wtórne — właściwości, jak rytm jako cecha miary wierszowej, specyficzną składnię, specjalne słownictwo itd. Funkcja prozy w stosunku do wiersza nie ulega zmianie ale elementy formalne, które tę funkcję pełnią — są już inne.

Dalsza ewolucja form może na przestrzeni wieków, bądź utrwalić dany stosunek funkcjonalny wiersza do prozy, bądź przesunąć środek ciężkości funkcji na szereg innych cech gatunku, bądź też zupełnie zburzyć istniejący porządek rzeczy, sprawę stosunku poezji do prozy uczynić niestoiłą i — podobnie, jak w literaturze współczesnej niestoiłą jest kwestia współzależności gatunków, tak też może nastąpić okres, gdy pozbawione znaczenia będzie zagadnienie — czy dany utwór napisany jest prozą, czy wierszem.

7. Stosunek funkcji do elementów formalnych — w aspekcie ewolucyjnym — nie był dotąd jeszcze przedmiotem badań literackich. Powyższe przytoczenie przykład wpływu ewolucji formy na proces zmiany funkcji. Forma o funkcji nieustalonej wpływa na

kształtowanie się charakteru tej ostatniej; przykładów tu co niemiara. Co więcej — mamy przykłady i na to, że funkcja może szukać dla siebie formy.

Oto przykład, jednoczesnego występowania obu tych momentów: W 20-tych latach zeszłego wieku w poezji archaistów kształtuje się funkcja eposu — zarówno typu „wzniosłego”, jak i „ludowego”. Zależność literatury od życia (szeregu) społecznego (w obliczu zwycięstwa nad Napoleonem i trwałego wzrostu potęgi państwowości rosyjskiej — przyp. tłum.) — skłania archaistów do gorączkowych poszukiwań formy „monumentalnej”. Jednakowoż — odpowiednich elementów formalnych pod ręką nie ma, „zamówienie” społeczne — jak się okazuje — nie ma odpowiednika literackiego i zawisa w próżni. Zaczynają się poszukiwania elementów formalnych. Katenin w 1824 r. lansuje **oktawę**, jako element formalny eposu poetyckiego. Namietny charakter sporów dookoła niewinnej na pozór oktawy godnie odpowiadał sierocej zaiste doli funkcji bez formy. Epos się archaistom nie udał. I oto — po 6 latach — forma oktawy wykorzystana zostaje przez Puszkina i Szewyriewa w nowej funkcji, dla nowej roli — a mianowicie — dla burzenia starożytności eposu, opartego na czterostopowym jambie i zastąpienia go przez nowy, upowszechniony (a nie „monumentalny”, „wzniosły”), realistyczny epos („Domek w Kołomnie”). Związki funkcji i formy nie są przypadkowe. Nie przypadkiem obserwujemy ten sam związek typowego słownictwa z typowym metrem u Katenina co — po 20—30 latach u Niekrasowa, który najprawdopodobniej, pojęcia nie miał o Kateninie.

Zmienność funkcji tego, lub owego elementu formalnego, kształtowanie się takiej czy innej nowej jego funkcji, scalenie się elementu formalnego z jego funkcją — oto ważne problemy ewolucji literackiej, zbadanie których należyce na tym miejscu narazie trudno. Zaznaczę tylko, że od dalszych studiów w tej dziedzinie zależy los poglądów na literaturę jako na szereg, na system.

8. Nie całkiem słusznym byłoby zapatrywanie, w myśl którego związek wzajemny zjawisk literackich kształtuje się według następującego schematu: utwór zostaje niejako wtłoczony w ramy zsynchronizowanego systemu literackiego i tu „obraca” w funkcję. Samo pojęcie zsynchronizowanego systemu, podległego procesom nieustannej ewolucji zawiera w sobie sprzeczność. System szeregu literackiego jest — przede wszystkim — systemem funkcji szeregu literackiego, bezurstanu doświadczającym na sobie wpływów innych szeregów — i z kolei wpływającym na nie.

Skład szeregów ulega zmianom, ale zróżnicowanie działalności ludzkiej trwa. Ewolucja literatury, podobnie jak i innych szeregów kulturowych nie odpowiada ani co do tempa, ani co do charakteru (a to dla specyfiki materiału, którym operuje) ewolucji szeregów, korelujących. Ewolucja funkcji konstruktywnej dokonywa się szybko. Ewolucja funkcji literackiej — z epoki na epokę. Ewolucja funkcji całego szeregu literackiego, względem szeregów sąsiadujących — trwa całe stulecia.

9. System nie jest wypadkowa równowagi nie współdziałających czynników, lecz przeciwnie — zawsze w nim na czoło wysuwa się pewna grupa elementów („dominanta”), przy jednoczesnej deformacji pozostałych — utwór uzyskuje prawa obywatelstwa w literaturze, otrzymując odpowiednią funkcję literacką właśnie dzięki swej dominancji. Tak np. wiersze — w naszym pojęciu — odnoszą się do działy poezji, do szeregu poetyckiego (a nie prozaicznego) nie ze względu na wszystkie swoje cechy gatunkowe, lecz tylko na niektóre z nich. Klasyfikujemy teraz powieść jako taką, tj. szufladkujemy dany utwór właśnie jako „powieść” z uwagi na jego objętość i charakter kompozycji tematycznej, a w swoim czasie warunkiem niezbędnym i wystarczającym dla takiej klasyfikacji była obecność w utworze intrygi miłosnej (skąd i pochodzi stary termin „romans”), który utrzymał się dotychczas w języku rosyjskim, (podobnie jak i w szeregu innych — przyp. tłum.).

10. Na czym polega stosunek zależności wzajemnej między literaturą a sąsiadującymi szeregami?

Następnie: coż to za szeregi? Odpowiedzieć można bez wahania: przede wszystkim — życie codzienne.

Jednakowoż — nim rozpatrzmy kwestię stosunku szeregów literackich do życia codziennego, musimy określić substrat owego stosunku, znaleźć punkty styczności obu korelatów. Życie codzienne jest wszak wielopostaciowe, wielostronne i specyficzne jest jedynie **funkcją** każdego z jego przejawów. Życie codzienne łączy z literaturą stosunek zależności w dziedzinie języka. Podobnie też szeregi literackie zależne są od życia codziennego, od praktyki językowej. Zależność wzajemna literatury i życia praktycznego przejawia się na odcinku języka; literatura pełni w stosunku do życia codziennego funkcję **językową**, lingwistyczną.

Używa się u nas terminu „konceptcja”. Znaczący to mniej więcej tyle, co „zamiar twórcy autora”. Zamiary mogą być chwalebne, chęci dobre, lecz wiadomo, że dobrymi chęciami droga do piekła jest brukowana. Powiedzmy od razu, że zamysły autora mogą być nie więcej, niż swoistym fermentem. Operując specyficznym materiałem literackim, autor podporządkowuje mu się stopniowo i rezygnuje ze swych początkowych zamiarów. Tak np. „Gorie ot uma” Gribojedowa, miało być utworem „górnym”, „wzniosłym”, a nawet „monumentalnym”, w istocie zaś jest polityczną, „archaistyczną” komedią-pamfletem.

(Ciąg dalszy na str. 8-ej)

PAWEŁ HERTZ

W I E R S Z E

STARY, STRZASKANY ŚWIAT

Stary, strzaskany świat. Wy, miłe drzewa zapomnijcie rozmowy i przechadzkę nasze. To były tylko cienie, tylko smutne cienie i nigdy pewnie nie chciały przybierać ludzkiego kształtu. Drzewa, miłe drzewa, czuwacie teraz nad przemarszem wojsk, wznoszących chmury kurzu aż do nieba, gdzie tylko jedna niestrącona gwiazda błyszczący jak odprysk szkła w złoczonej ramie.

Stary, strzaskany świat. Przechodzą pulki, toczą armaty, czołgi ozdobione zielonym liściem, a żołnierz z kosmykiem włosów z pod czapki wypuszczonych wolno śpiewa piosenkę więzienną z Odessy. Znałem go kiedyś. Łamał mi chleb, cynową kwartą pijał czystą wodę, za oknem smutne śmigały jaskółki szybciej niż ciepły, czarnomorski wiatr.

Stary strzaskany świat. Pozwólcie czuwać i nasłuchiwać wśród białego dnia jak skrzyplą półkę zburzonych bibliotek i jak szeleszczą na klasycznych kartach polerowane wiersze z rytmem gładkim i tak przyjemnym dla ucha jak dwie młarowe fale toczące przez rzeki od dwóch tysięcy lat nie naszej ery.

Stary, strzaskany świat. Gdybym nie wiedział mimo opisów mądrego Tacyty, że powtarzamy nieustannie czyny do których zmusza nas przemoc tyranów albo nienawiść bogatych do biednych, albo pogarda królów do poddanych, albo też płochość z jaką nam natura porozdzielała kolor naszych skór śladłbym tu w cieniu waszym, miłe drzewa, patrząc na stary i strzaskany świat z czułością godną wygnańca Cytery.

Ale gdy wiem to, będę trystia pisał, lub powieść, w której już nie zechcę ukryć najmniej powabnych krajobrazów świata. Będzie tam żołnierz i czapka rogata, jego piosenka i więzienna krata, dawnego losu nieżale cukry i kurz, i nieład świata, który wschodzi.

DO NIECIERPLIWEGO

Ocalony z tej wojny piszesz do mnie. Cóż ci dziś odpowiedzieć mogę? Słucham tylko cierpliwiej pracy owadów, gdy księżek skórzane toczą grzbiety. Słucham w nocy jak niecierpliwe serce wraz z zegarkiem śpieszy niby pianista, gdy kończy sonatę. Patrz, ile trzeba mi porównań trudnych czerpać z muzyki lub ze świata rzeczy, aby nie milczeć. A ty chcesz ode mnie tak prostej odpowiedzi, jakiej ci udzielić potrafi lepiej ten, komu nieznana jest miłość do muzyki ani do przedmiotów kupowanych za srebrne i złote monety we wszystkich krajach, gdzie jeździłem w gości. Jedno ci tylko powiem. Czasem bywa, że dech wstrzymuję, by mi nie przeszkadzał słyszeć muzyki, którą świat układa ogromny, ciężki, podobny do chlopa, gdy przygrywa do tańca na obrazie Breughla. Widzę wtedy dzień biały, okryty śniegami, okręty w portach o masztach tak czarnych, że wraz z linami tworzą sieć piękniejszą niż kunsztowne koronki. Czekam wtedy wiosny i wiem, że będzie trudna, bo zbyt wiele woni ze sobą niesie, a ja tylko kurzem starych bibliotek potrafię oddychać i sztuczne barwy obrazów przenosić nad naturalne kolory tej ziemi. A jednak przecież niekiedy tak bywa, że zatrzymuję przelotne spojrzenie na twoim świecie prawdziwym, gdzie wojny niesprawiedliwe toczą się, gdzie szczęście nie dla każdego bywa jednakowe i nawet klęska boleśniej dotyka jednych, a innym tylko czoło muśnie. Wtedy dokładnie widzę większą piękność twojego świata i wtedy rozumiem, że pokłócenij byliśmy zbyt długo. Oto odpowiedź zawila i smutna, innej ci jeszcze dać nie potrafię, choć jeśli czego najbardziej pragnęłam, to tylko tego, by ci się tak prosta wydała niby nietrudna muzyka harmonijki, gdy śpiewa na ulicach miast.

Zapewne kiedyś będę przywrócony twojemu światu, który mnie ocalał i tak rozwiąże język, by mnie mógł zrozumieć biedny chłop andaluzyjski, republikański żołnierz, co szturmując umarłe miasta Grecji, gdzie pomnikom i twarzom ludzkim rysy wyżłabia iperyt straszniej niż czas i głębiej niż duto rzeźbiarza. Ocalony z pożarów nie pragnij ode mnie nic więcej nadto, bym pozostał wierny piękności świata. Kiedy dziś ja widzę dzisiaj wraz z tobą gotów jestem bić się w Hiszpanii, w Grecji, wszędzie tam, gdzie jeszcze nie słychać harmonijki na ulicach miast.

STANISŁAW DYGAT

OPOWIADA

ZYGMUNT CZERWIŃSKI



W RZESNIEM roku 1939 walczył w obronie Warszawy. Kiedy Warszawa padła, chodził po jej rozbitych ulicach, trzymając ręce w kieszeniach, głowę miał pochyloną i myślał: „Na nie się zdała moja obrona”. Bał się choć był odważny: nigdy nie zadrżał przed świstem kul, ani hukami bomb. Zawsze szedł naprzód. Teraz bał się. Bał się strachu, którego nie rozumiał. I bał się jeszcze, że nie zapanuje nad sobą i zacznie walić po mordach trawiających Niemców, którzy chodzą wśród zielonych warszawskich ruin jak leniwie mieszczanie w niedzielne popołudnie po ogrodzie zoologicznym. Miał jeszcze nieco rozsądku który go przed tym powstrzymywał, czuł go jednak w sobie coraz mniej. Pewnego dnia chmurny i stanowczy ucałował swoją matkę, która nie płakała, ojcu nie mógł nawet słowa powiedzieć, ponieważ ojciec od wielu dni leżał zagrzebany pod ruinami domu na Nowym Świecie, co zaś do siostry, rzecz bez znaczenia: siostra była tyle ładna ile lekkomyślna i raczej udawała, że to wszystko razem cokolwiek ją obchodzi. Z dziewczyną z którą był rozmawiał krótko, ta rozmowa była przykra i niewłaściwa, skończyła się słowami: „A daj mi święty spokój, jeżeli tak do tego wszystkiego podchodzisz, możesz zacząć się wyjechać”. Po latach, kiedy nawet obraz tej dziewczyny zamazał mu się zupełnie w sercu i pamięci często jednak robiło mu się przykro, kiedy wspominał, że tak wtedy rozstając się powiedział. Bo nasz stosunek do człowieka mierzy się nie daną miłością do danej osoby, ale pojęciem miłości do pojęcia ludzkiego. Poszedł na Węgry. Miał plecak, tyrolski kapelusz, granatowe pumpy i podkute buty. Z Węgier do Jugosławii. Z Jugosławii do Turcji. Z Turcji do Algieru. W Algierze poblił się w kawiarni z pewnym Algierczykiem, który pogardliwie wyraził się o Polsce. W tej bójce stracił ząb i już został szczerbaty, bo nigdy nie znalazł w sobie wewnętrznych sił na pojście do denty. Z Algierczykiem zaś, okazało się, że źle zrozumiał jego słowa, pogodził się, a nawet dosyć zaprzyjaźnił i chodził pewien czas na obiady do domu jego rodziców. Podawano tam cousse-cousse, algerską potrawę z ryżu i baraniny niezwykle pieprzną. Początkowo bardzo mu to smakowało, ale potem na sam widok robiło mu się mdło. Tydzień żył z siostrą tego Algierczyka, była to dziewczyna dziwnie smutna i zamyślo-

na przez ten tydzień nie wymienili z sobą ani słowa. Z Algieru dostał się do Francji. W Marsylii pierwszy raz w życiu poszedł do burdelu, ale zamiast położyć się z dziewczyną do łóżka, namawiał ją, by zmieniła życie i ta wyrzuciła go za drzwi, obsypując go przy tym wyzwiskami. We Francji wstąpił do polskiego wojska i gdy w ten sposób był jakoś się ustabilizował zaczął strasznie tęsknić za domem i ojczyzną. Nastąpiła inwazja niemiecka na Francję, ewakuował się na wyspę brytyjską. W Londynie, w jakimś barze pił piwo, podała mu je dziewczyna, jego kochanka, siostra algierczyka, który mu wybił ząb. Nawet się ze sobą nie przywitali, uwagi na siebie nie zwrócili, chociaż dobrze się wzajemnie poznali. Jego nie interesowało nawet teoretycznie, jaką dziwną koleją losu córka bogatych algierczyków została nagle kelnerką w podrzędnym barze londyńskim. Cóż mu to wszystko? Tęsknił za krajem. Tobruk. Monte-Cassino. Trzy ciężkie rany. We włoskim szpitalu, gdzie leżał trzy miesiące, sanitariuszka ukradła mu zegarek, a potem ten zegarek nosił młody porucznik, przystojny i rozkapryszony jak panienka. Koniec wojny. Myślał tylko o jednym: wrócić do kraju! Ale do kraju wrócić nie mógł: bał się. Nie bał się tego czym straszyla propaganda. Bał się tego, że nie rozumie ze świata i wciąż o nim zmienia zdanie zależnie od tego z kim ostatnio rozmawiał. W tym strachu i nierozumieniu zagubił wszelkie drogi wiodące do kraju. Został sekretarzem pewnego amerykańskiego bankiera, który był pederastą i zakochał się w nim. Kiedy w Nowym Yorku bankier zaczął się do niego zabierać, dał mu w twarz i poszedł sobie od niego. Potem napisał do niego list, przeprasząc, że się uniósł, ale ma wstręt do takich rzeczy i więcej nie może z nim pracować. Błąkając się po ulicach Nowego Yorku spotkał swego szkolnego kolegę, który pracował w polskiej ambasadzie w Waszyngtonie. Ten kolega stwierdził, że tylko skończony idiota może błąkać się bez pieniędzy, a z tęsknotą w sercu za krajem, zamiast wrócić do niego. Został nagle olśniony niezwykłą prostotą i prawdą tych słów i oznajmił, że już, w tej chwili chce wrócić do kraju. Kolega załatwił mu wszelkie formalności, kupił bilet na „Batorego”. 6 kwietnia „Batory” odpłynął z Nowego Yorku. Jednak w drodze Zygmunt Czerwiński, za lekko ubrany zaziębł się dostał grypy i po paru dniach zmarł.

Oto pogrzeb na statku. Trumna na sznurach zostanie zaraz spuszczona do morza. Kapitan ma bardzo piękną mowę, o żołnierzu-tulaczku, który nigdy już nie ujrzy swojej ojczyzny. Plusk wody. Trumna zanurza się w falach oceanu. Zgromadzeni pasażerowie płaczą, choć nikt nie znał Zygmunta Czerwińskiego. Płaczą nad ciałem, którego miejsce było we własnym kraju pod dachem własnego domu, a które wiecznie błąkać się będzie pośród zielonych i nieznajomych odmetów Atlantyku.

LOTNIK, PIECHUR, CYWIL I DZIEWCZYNA Z BURMY



DWÓCH siedzieli w jakimś londyńskim pubie, jeden w mundurze lotnika czytał gazetę, drugi piechur kołysał się na krześle. Podszedł do nich trzeci w cywilu.

— Cherry al — powiedział.
— Hulloh — mruknął lotnik nie podnosząc oczu z nad gazety.
— A Hulloh — powiedział piechur i przestał kołysać się na krześle.
— Co tam słycać?
— Co może być słycać? Gówno słycać...
— Bardzo ci do twarzy w cywilu — rzekł z prowokacyjną złośliwością piechur.

Lotnik podniósł głowę z nad gazety i popatrzył z zainteresowaniem na cywila.

— Jutro ja wbiłam się w cywilne ubranie — powiedział — nie wykluczone, że na

to konto wytrzasnę jakąś butelkę whisky, którą wspólnie wypijemy.

Piechur uśmiechnął się blade i pogardliwie.

— Taką okazję, chłopcy, będziecie obławiać bezemnie.

Wyprostował się nagle z godnością.

— Ja się bardzo dziwię — powiedział surowo, z nutką osobistego bólu i żalu — bardzo się dziwię chłopcy tej gorliwości z jaką staracie się o zdembilizowanie i z jaką zrzucacie mundury. Czy wy naprawdę uważacie, że ta wojna jest dla nas skończona? Nie uważacie, żebyście tak uważali.

Cywil z irytacją wzruszył ramionami zaś lotnik powiedział spokojnie:

— Będziesz jednak musiał uwierzyć, kiedy się przekonasz. Być może, iż ty wojny jeszcze nie masz dosyć, bo kiedy on uganiał się na czołgu za Niemcami po kontynencie, a ja we wszystkich częściach świata rzucałem bomby na faszystów, ty pętales się bezpiecznie po różnych sztabach i odwalales wspólną robotę ideową, która się najwyżej psu na gówno zda. Twoja sprawa, ale nie każ nam teraz w to gówno wlać.

Piechur zaczerwienił się i uderzył pięścią w stół:

— Ja sobie wypraszam takie uwagi — zawołał — to jest podłe i nieczemne z two-

jej strony. Wiesz dobrze, że każdy służył tam, gdzie mu wyznaczono miejsce.

Lotnik przerzucił spokojnie stronę gazety i wodził po niej oczami jakby szukając bardzo ważnej wiadomości.

— Nie wal pięścią w stół — powiedział — bo rozlejesz moje piwo i będziesz musiał zapłacić, a wszyscy wiedzą, znając twoją zachłanność na pieniądze, jaki to byłby dla ciebie ciężki cios. Nikt tutaj nie zamierza ciebie obrazić, tylko nie prowokuj takich rozmów, a nie usłyszysz, czego nie chcesz. Jeżeli sądzisz, że zadowolnie się myślą, iż walczyłem z faszystami po to, żeby się potem pętać po świecie bez dachu nad głową i wysłuchiwać morałów różnych polityczno-wychowawczych gówniarzy, to grubo się mylisz. Mnie anglicy nabrali raz — i drugi raz już nie nabiorą. Co zaś do zrzucenia tego munduru, to robię to z wielką ulgą i satysfakcją. Posłuchaj co ci powiem: w czasie, kiedy latałem w Burmie zaprzyjaźniłem się z pewną burmańską dziewczyną, no, spałem z nią po prostu, była ładniutka i miła. Pewnego razu zaprosiła mnie do siebie. Jej rodzice, i brat przyjeźli mnie bardzo gościnnie i życzliwie, poczęstowali herbatą i rozmawiali o Polsce, że Polska jest im bliska, bo to kraj, który ceni wolność i za wolność umie walczyć. Ale kiedy wychodziłem, brat mojej burmanki odwołał mnie na bok: w słowach delikatnych poprosił, abym na przyszłość, kiedy będę do niego przychodził, co jest im bardzo miłe i na czym bardzo im zależy, wkładał cy-

wilne ubranie, bo oni nie mogą, ani nie chcą przyjmować w swoim domu człowieka w angielskim mundurze. Ja już tam więcej nie poszedłem i z moją burmanką zerwałem. Nie, żebym się obraził. Wstyd mi było. Pomyślałem sobie: „O co się właściwie walczy, do jasnej cholery! Coś tu w tym wszystkim jest nie tak jak być powinno”. Czy ty naprawdę tego nie rozumiesz bucu zatracony?

Piechur wstał raptownie i sztywno.

— Daremne z wami rozmowy — powiedział — jesteście bandą czerwonych świń. Żołnierz, który wie, że miejsce każdego Polaka jest przy boku naczelnego wodza, nie ma z wami nic do gadania. By, by, panowie.

— Każdy — powiedział lotnik — kto choć trochę uczciwie pomyśli, jest dla ciebie czerwoną świnią.

Piechur odszedł z godnością.

— Wracaj — zawołał za nim cywil — wracaj do Rzymu do swojego naczelnego wodza, jeżeli już zdążyłeś załatwić w Londynie swoje dolarowo-ideowe transakcje. Patrzyli za nim, kiwając smutno głowami.

— To buc patetyczny — powiedział cywil.

— Sakramencki — powiedział lotnik.

— Gigantyczny.

— Niepojęty.

— Kosmiczny.

— I nadprzyrodzony. Poza tym wszystkim skorzystał z okazji, żeby nie zapłacić za swoje piwo. Ja płacić za niego nie będę. Niech kelner zgłosi się po należność do sztabu Andersa.

ZWIERZĘTA FUTERKOWE



SIEDZIELI przy soku z winogron na tarasie kawiarni przy bulwarze Montparnasse.

— Oh, Boy... westchnął jeden z nich — co zamierzasz robić dalej? Drugi wzruszył ramionami.

— Czekam, aż mnie zwolnią z wojska, a potem na brazylijską wize. Moja siostra ma w Brazylii fermę. Ja, wiesz, latałem w powietrzu rzucałem na Niemców bomby, ale to w gruncie rzeczy nigdy nie był mój żywioł. Marzyłem zawsze o tym, żeby gdzieś na cichej wsi hodować futerkowe zwierzęta. Czy to nie zabawne? Co? Akurat futerkowe zwierzęta. Nie kury, nie świny, nie takiego. To mnie nie obchodzi. Nic a nic. Tylko właśnie zwierzęta futerkowe. A powiedz mi, o czym ty zawsze marzyłeś, powiedz mi, stary byku!

— O czym marzyłem? O różnych oczywiście rzeczach. W latach szkolnych chciałem być wesołym, dowcipnym, nonszalanckim chłopcem bez określonego zawodu z amerykańskiego filmu, którego losy naprzemian wesołe i pełne emocjonujących przygód kończą się happy endem w ramionach dziewczyny o jasnych włosach i długich nogach, potem przez pewien czas zawodowym bokserem, albo wielkim dyrygentem...

— Bokserem zawodowym, albo wielkim dyrygentem, wymieniasz te dwie rzeczy obok siebie jednym tchem?

— Oczywiście. Sława i poklask tłumów mają zawsze ten sam smak i dają to samo luksusowe poczucie swobody. No, potem przez niezbyt długi okres czasu — chciałem zostać świętym, potem dyrektorem szkoły...

— To są bzdury.

— Wyjmij palec z gęby, bo nie rozumiem co mówisz.

— Mówię, że to są bzdury. To oczywiście dziecięce. Takie tam rzeczy każdy przechodził. Ja myślę takie wiesz na serio, taka jakaś „hobby”, no jak na przykład... czy ja wiem...? No tak coś właśnie jak moje zwierzęta futerkowe.

— Jak zwierzęta twoje futerkowe? Nie. Nic takiego... chyba, że... zawsze wzruszały mnie biedne dzieci. Umorusane, brudne, na ciemnych, cuchnących podwórkach bawiące się polanymi zabawkami. Przed wojną zacząłem studiować medycynę, myślałem o tym, żeby zostać pediatrą, założyć jakiś ośrodek zdrowia w ubogiej dzielnicy, no, wybuchła wojna, diabli wzięli

dzieci i diabli wzięli wszystko! Czy myślisz, że te moje biedne dzieci to coś takiego jak twoje zwierzęta futerkowe?

— O, właśnie! Myślę, że to coś takiego i że teraz lepiej zrozumiesz moją hobby. Posłuchaj: ładna, czysta ferma, południowe słońce praży jak cholera, ja z zakaszanymi rękawami, przez podwórko hyc, hyc, skacze królik...

— Stul gębę! Dosyć! Idź do diabła ze swoimi królikami i ze swoimi zwierzętami futerkowymi. To wszystko jest wielka błąka. Możesz oszukiwać siebie, ale mnie nie oszukasz. Nie zasłaniaj się futerkowymi zwierzętami, nie ci nie pomogą. Diabli wszystko wzięli! Słuchaj! Czy ty naprawdę myślisz, czy tobie naprawdę się zdaje, że w tej sakramenckiej Brazylii będziesz szczęśliwy?

— Nie.

Umilkli. Ładna, elegancka pani szła ulicą w futrzanej zarzutce, trzymała za rękę chłopczyka, czystego, wystrojonego jak laleczka, o minie ponurej i oczach pełnych niepokojących zamysłów na temat różnych gatunków dziecięcych zbrodni w rodzaju procy, przeciagniętego w korytarzu sznurka, wsypanego za koszulę gniogu. Szedł otwierając się, jakby w każdej chwili gotów czynić w olśniewający zamęt ulicy. Zatrzymali się przed witrzyną sklepu, po czym weszli do jego wnętrza.

— Wszystko to bujda. Tak. Bujda. Masz rację. Wszystko diabli wzięli. Na końcu jest śmierć, która odbiera wszystkiemu sens. W Brazylii czy gdziekolwiek. Temu, bracie, nie dasz rady. Nie myślałem o śmierci, kiedy jej było pełno na froncie w przeciwlotniczej artylerii i w r. k. mach nieprzyjacielskich młotów. A teraz...! Przed nami jest tylko śmierć i o tym cholera się myśli. Przed każdym jest śmierć, pewnie, Ale tę przestrzeń do śmierci ludzie normalni, nie tacy jak my, wypełniają swoim zadaniem życiowym pracą, która formuje sens świata, a odbiera go śmierci takiej jak nasze. Czy ty nie masz wrażenia, że my, byli żołnierze Andersa, którym odebrano wiarę w każdy inny świat prócz tego, którego już nie ma, że my już umarliśmy, tylko się tam wloką jeszcze za nami wspomnienia życia, nie wiadomo poci? To wszystko nie ma sensu ja wiem. Ale ze wszystkiego co nie ma sensu, jeszcze jakiś cień sensu mieści się dla mnie w zwierzętach futerkowych na brazylijskiej fermie.

— O sakra mizerja! Gdzieś jakiś sens musi być!

— Dosyć! Przestańmy już! Jadę do Brazylii na fermę zwierząt futerkowych, jadę z zapasem sił i radości życia. Tak! Oznajmiam to, a o niczym innym nie chcę słyszeć! Już! I dosyć!

Pani z chłopczykiem wyszła ze sklepu, niosła kwadratową paczkę, chłopczyk wyjął z kieszeni szklaną rurkę, włożył do niej

D A N I A

ziarnko grochu, dmuchnął i trafił marzącego o brazylijskiej fermie, żołnierza w policzek. Pani wydała okrzyk zgrozy i zatrzymała się o parę kroków przed stolikiem. Szarpała za rękę chłopczyka, który bynajmniej nie okazywał skruchy, przeciwnie miał minę osoby najzupełniej ze siebie zadowolonej.

— Jak śmiałeś nicponiu popełnić taką zbrodnię! Patrz! To jest żołnierz, dzięki któremu mamusia może ci spokojnie kupować zabawki. Jak śmiałeś go znieważać zbrodniarzu? Idź zaraz, pocałuj go w rękę, albo natychmiast oddam cię Niemcom. Po desza bliżej, ciągnąc za rękę zlekka opierającego się chłopczyka, na ładnych nogach miała cienkie pończochy. Zaczęła się żenująca scena, pani zmuszała chłopczyka, żeby pocałował żołnierza w rękę, chłopczyk się opierał, żołnierz miał głupią minę, wreszcie pogłodził chłopczyka po głowie i potrząsnął mu rękę, po czym zaprosił gestem panią żeby usiadła. Zrobiła to chętnie, szybko i zgrabnie. Założyła nogę na nogę, zapaliła papierosa i uśmiechnęła się:

— Kocham wszystkich żołnierzy, którzy za nas walczyli.

— He? Co ona mówi? Przetłumacz.

— Ona powiedziała: kocham wszystkich żołnierzy, którzy za nas walczyli.

— Powiedz jej, że wcale za nią nie walczyłem, natomiast chętnie się z nią prześpię.

— Co on powiedział?

— On powiedział, że kocha wszystkie kobiety za które walczył.

— Ach co za wykint i rycerskość.

Żołnierz od futerkowych zwierząt uśmiechnął się zalotnie i przysunął do pani w futrze. Zaczęli coś do siebie mówić nieartykułowanymi dźwiękami.

— Hej ty! Spytaj jej się, czy nie mogłaby odprowadzić do domu tego małego hotentota i pójść ze mną do kina? Pani wtuliła głowę w futro niby rozważając propozycję zaciągnęła się papierosem i z gracją skinęła głową. Drugi żołnierz, wstał uklonił się pani, klepnął w ramię kolegę i powiedział:

By, by! Istotnie zdumiewający masz pociąg do zwierząt futerkowych. Idę sobie, może wymyślę coś lepszego od twoich zwierząt futerkowych i ferm brazylijskich. Baw się dobrze. By, by.

POLA ELIZEJSKIE



POMYŚLAŁ sobie: „jazda metrem to zajęcie szczególnie oglupiające. Na powierzchni ziemi wszystko ma jeszcze jakiś pewny sens: pomniki, domy ludzkie ożywiające szarość istnienia sklepami, teatrami, kinami i kawiarniami, zielona roślinność przepływająca pod mostami rzeka, wspomnienia historii i ponad wszystkim przestrzeń nieba, wieloraka tonami światła i kształtem chmur. Ale w ponurych korytarzach, wilgotnych i chłodnych podziemi: nie ma żadnego z odcienia barw jakimi ludzie fałszują naturalną szarość swoich dni. Korytarze podziemnej kolejki to jest już „tamta strona“, ludzie, milczący, błądzący od sztucznych światel, suną tępą falą: cienie błądzące wśród Elizejskich Pól.“

Brodaty bileter przedziurkował mu bilet. „Tak musiał wyglądać przewoźnik Charon“ — pomyślał. — Jak dojadę do Pól Elizejskich? Spytał. Wciąż jeszcze nie umiał się orientować w labiryntach metra.

— Kierunek Balard. Przesiadka przy Concorde na Pont de Neuilly. Dokąd na Pola Elizejskie chce pan jechać?

— Na ulicę Pierre Charron.

— Wsiądźcie pan przy Marbeuf.

„Barwne afisze — myślał dalej — rozlepione na ścianach tych podziemnych korytarzy, reklamy kin, teatrów, różnych firm i produktów wcale nie ożywiają beznadziejności tych Elizejskich Pól: to są wspomnienia o utraconym życiu, do którego nie ma już ani powrotu, ani dostępu. Czyna tę beznadziejność tym okrutniejszą.“

Zatrzymał się przed jednym z afiszów teatralnych. Zobaczył na nim twarz dziewczyny, którą przed wojną zostawił w Polsce. Delikatna twarz, ciemne puszyste opadające na nagie ramiona włosy, zielone

oczy zapatrzone smętnie w przestrzeń. Przypatrywał się chwilę i pomyślał, że właściwie ta dziewczyna nie jest specjalnie podobna do jego dziewczyny z Polski. Z tego tylko chyba co upodabnia wszystkie dziewczyny świata... Ktoś klepnął go po ramieniu.

— Hulloh, stary. Wybierasz się do teatru?

— Właśnie — mruknął — co tu robisz Wacek?

— Nie wiem. Tu — to znaczy, gdzie?

Wacek był to wysoki, wesoły chłopak z jasnymi oczami. Było mu do twarzy w mundurze i czarnym berecie, który nosił inaczej niż wszyscy: zsunięty trochę na lewe oko.

— Nie wiem gdzie? W Paryżu, w metro. Wszystko jedno. O coś muszę zanotać. Nie?

Całą wojnę przeżyli razem. Byli w tym samym plutonie, bardzo się ze sobą przyjaźnili.

— No, pewnie! Pytać zawsze jest o co, tylko nie zawsze jest co odpowiedzieć. Wiedzę żeś w cywilu. Co u ciebie słychać?

— Nie nie słychać.

Zeszli po schodach, wstąpili na peron.

— Nie jesteś w usposobieniu do przyjaźelskiej pogawędki?

— Nie. W każdym razie nie w metro.

— Będę w Paryżu parę dni. Spotkamy się może?

— Może. Jak się w ogóle czujesz?

— Świetnie. Dwa tygodnie temu, po pijanemu przecinałem sobie żyły.

Pociąg zjechał nagle, hałasł, wie i gwałtownie. Wsiadli. Trzymali się za zwisające rączki, chwalili się lekko, patrzyli każdy w inną stronę i milczeli chwilę.

— Czemu przecinałeś sobie żyły? Dziewczyna?...

— Ale tam dziewczyna... Ja wiem! Tak, to, po pijanemu...

— Dawniej po pijanemu nie przecinałeś sobie żył.

— Dawniej nie, kiedy się zdemobilizowałeś?

— Parę dni temu.

— Łatwo ci to poszło?

— Zabieliński mi pomógł.

— Ta menda? W jaki sposób niby?

— Jeszcze w czasie wojny zrobił na mnie donos, że jestem komunistą.

— Ty, komunista? Niby jak?...

— Oh, Powiedziałem kiedyś w kantine, że nie tyle walczę za Polskę co za to żeby w ogóle było lepiej na świecie i inaczej niż dotąd. Zabieliński był przy tym. W niedługim czasie dowiedziałem się, że przy moim nazwisku jest uwaga: „podejrzany politycznie“. Przysłużył mi się — Wiesz, że „podejrzanych politycznie“ chętnie i łatwo zwalniali.

Wacek roześmiał się.

— Ach w ogóle, to wszystko razem...?

— Concorde, wysiadam. By, by!

— Serwus stary. Pamiętaj ten lej pod ręką?

— No masz, bracie! Takich rzeczy się nie zapomina. Serwus, stary i nie podcinaj już sobie żył, mimo wszystko.

— Postaram się. By, by.

Kolejka odjechała. Wacek kiwnął jeszcze ręką z oświetlonego okna i uśmiechał się. Ten drugi zaczął szukać peronu na Pont de Neuilly, zabłądził, znalazł się poza

strefą biletową, zawahał się chwilę przed kasą, wreszcie zdecydowanym krokiem ruszył schodami w górę. Jasne światło dnia powitało go na obszernym jak rozłożony w salonie dywan placu de la Concorde.

UNIwersYTET, PRZYĆMIONE ŚWIATŁO I KWARTET MOZARTA



MICHAŁ siedział bulwarem St. Michel w stronę Montparnasse'u. Krzywił się i mamrotał jakieś słowa, chociaż na ogół nie miał zwyczaju mówić sam do siebie. Godzina 12-ta. O dwunastej umówił się w „Rotonde“ z Jaqueline; Jaqueline już pewnie siedzi na tarasie, taka jest zawsze punktualna. Siedzi na tarasie, w sukni w kwiaty i szerokim kapeluszu ze wstążką, świeża, pachnąca nadmiernie czuła dobra, i słodka, pije przez słomkę zieloną miętę, która jest cierpka, od czasu do czasu spogląda w ulicę niespokojnie i niecierpliwie, czy nie nadchodzi Michał. Obawia się zawsze, że Michał zabłąka na obcych ziemiach Słowianin, wiecznie niezrozumiały i nierozumny, pewnego dnia nie przyjdzie na spotkanie i nie ujrzy go więcej. Ojciec Jaqueline słynny paryski lekarz mówi: „Słowianie! Nikt nie wie, co im tam w głowie siedzi!“

Po bulwarze St. Michel przechadzali się studenci. Ich postawa i gesty wyrażały wielką pogardę dla otoczenia nieświadomego źródeł wiedzy, z którego oni czerpią mądrość. Byli pełni swady i nonszalanckiej, nie wyglądali na ogół na więcej niż 20 lat, rozprawiali o nauce, klepiąc ją poufale po ramieniu, trzymali pod pachą skrypty, sześciłwsi, którym natura pozwoliła na to, nosili brody, jakie dziś poza Quartier Latin można zobaczyć tylko na obrazach impresjonistów. Ich ojcowie i dziadkowie nosili takie brody nie specjalnie jako studenci w ich epoce brody mieściły się doskonale, jednak dzisiejszym studentom zdawało się, że broda jest pierwszym i nieodzownym warunkiem wiedzy i dojrzałości. Michał patrzył na nich zazdrośnie. Burze szalejące nad światem nieczym nie zagroziły ciągłości wydarzeń ich życia. Powychodzili z tych samych mieszkań co ich ojcowie i dziadkowie, spośród tych samych mebli, dywanów, obrazów, i tych samych drobnych spraw dnia: z takimi samymi brodami wyruszyli na podbój wiedzy, która raz zdobyta, słuszy być dalszemu pielęgnowaniu prawideł ich powszechnego dnia. Wojna, hitlerowska okupacja, wstrząsnęła niemymi wprawdzie co nie co, ale wojna się skończyła, Niemców już nie ma, nio nie stoi na przeszkodzie, by pielęgnować oddziedziczone po ojcach i dziadkach brody.

„Gdybym ja na przykład wrócił do kraju, zapisałbym się na uniwersytet, uniwersytet rozwalony, dokoła gruzi, groby przyjaciół i bliskich na cmentarzach, na ulicach wmurowane tablice: „Tu poległ ścierpień męczennik za ojczyznę rozstrzelany w ulicznej egzekucji“, nie ma mojego domu na ulicy Świętokrzyskiej, nie ma wspomnień, twarze obce, niby twarze swoich, ale obce, przepaść wielka jak od Falaie po Stalin-grad, głęboka jak noc tworgi lotniczych alarmów, jak dzień terroru i łapanek, uniwersytet warszawski w gruzach i wśród gruzów, mieszkanie na Świętokrzyskiej już się niemal zaciera w pamięci, rządzą prawa nowe, trudne i niepojęte, nieprzyjazne ciepłym półmrokom kątów na Świętokrzyskiej, nie ma się gdzie skryć, nie ma gdzie głowy złożyć po trudach wojny, po sześciolatniej tułaczce wśród bomb i kul, upływu krwi i emigracyjnych trosk.“

Przeszedł w czarnej sutannie kleryk murzyn, minął go inny murzyn, sierżant amerykańskiej armii. Popatrzyli na siebie i szybko odwrócili oczy jakby zawstydzeni: koledzy biurowi z tej samej poważnej firmy, którzy przypadkiem spotkali się na maskaradzie przebrani w stroje dziwaczne i niedorzeczne.

„A gdybym tak zapisał się tu na Sorbonę i skończył medycynę? Byłbym studentem z brodą i skryptami pod pachą, klepałbym wiedzę poufale po ramieniu, praktykowałbym w szpitalu z widokiem na wieżę Eiffel'a, potem założyłbym własny gabinet gdzieś w okolicy Champs-Élysées, tam miałbym mieszkanie, mieszkanie po żonie, córce słynnego lekarza, dywany, obrazy i meble, wieczorem przytulne żółte światło lampy koło miękkiego fotela, najnowsza książka modnego pisarza, radio gra cicho kwartet Mozarta, ciężkie kotary bordo na oknie, za oknem migocący światłami Paryż (nie ma dzisiaj takiego Paryża! Czy będzie?), z drugiego pokoju szczęk talerzy i widelców, służąca nakrywa do obiadu w stołowym pokoju, gdzie stoi stary normandzki zegar, wisi stara normandzka porcelana i autentyczny Delacroix. „Cher! już nie masz dziś pacjentów? Dzwoń! Albert chciałby zabrać nas do opery, a po tym gdzieś na Montmartre potańczyć, masz ochotę? Nie jesteś zbyt zmęczony? Tak bardzo doprawdy się przemęczasz!“, „ależ nie chérie, jeżeli tylko ty masz chęć. Czy dzieci idą już spać, czy były grzeczne?“, „Właśnie się kładą, ale Doudou powiedział, że nie zaśnie póki go papus nie ucałuje na dobranoc“, „powiedz mu chérie, że zaraz przyjdę i zadzwoni do Alberta, że zajdziemy po niego kwadrans przed ósmą...“

Michałowi zrobiło się mdło i znowu skrzywił się tego ranka.

— Gęba całkiem mi się przekrzywi — pomyślał.

„W cieniu złotego światła lampy, w takt kwartetu Mozarta, wśród normandzkiej porcelany, troskliwości żony, czułości dzieci i telefonów od przyjaciół szukających rozrywki bezdenna codzienna monotonia, banal istnienia i beznamiętne próby ożywienia tego banalu, rzewny smutek życia, cienie bliskich, którzy odeszli, ustawiczny strach, że inni wnet odeszły, dniem i nocą czająca się po kątach zawrotna w swoim nonsensie myśl, że nadejdzie śmierć i unicestwi nawet ten snujący się wśród zakamarków czasu uszmiłkowany rzewnością banal. Skąd to wszystko i po co? Tfu!... Skrzywiona gęba jest jedyną właściwą odpowiedzią.“

Michał zobaczył z daleka siedzącą przy stoliku w Rotonde Jaqueline. Suknia w kwiaty, szeroki kapelusz ze wstążką. Popatrzała na zegarek i rozejrzała się. Na ustach jej błąkał się słodki, rzewny uśmiech. Michał raptownie się zatrzymał, po tym odwrócił i szybko odszedł w przeciwnym kierunku.

Stanisław Dygat

TREŚĆ NR 21:

Jan Kott — Konfitury; Jean Larnac — Romantyzm jako kompleks reakcji; Jadwiga Sikińska — O chorobach wzrostu kulturalnego; Stanisław Wygodzki — Obywateli (dok. opowiadania); Federico García Lorca — Romans lunatyczny; Stanisław Jerzy Lec — Śmierć moja; Czeska książka w Polsce; Andrzej Braun — „Reportaż spod szubienicy“ — Fucika; Ewa Korzeniowska — o „krawędzi“ Rzezcza; Janina Preger — „Turysta mimo woli“; Seweryn Pollak — O nowej literaturze bułgarskiej; Jelizawiet Bagriana — Penelopa XX wieku; Joanna Guze — Polonica paryskie; Przegląd prasy; Korespondencja; Noty.

Numer majowy 5 (24)
czasopisma naukowego

MYŚL WSPÓŁCZESNA

przynosi następujące artykuły:
Tadeusz Kotarbiński — Realizm praktyczny
Maurice Cornforth — Empiryzm logiczny
Georges Hostelet — Opracowanie naukowej pojęcia organizacji
Jan Szepeński — Metodologiczne tendencje w socjologii współczesnej
Józef Pieter — Społeczne i dziedziczne podłoże różnic intelektualnych
Jerzy Konorski — Podstawy fizjologiczne pamięci.

Numer zawiera nadto dział
Kronik i recenzji.
Adres Redakcji: Łódź, Piotrkowska 88
tel. 254-20, wewn. 13
Adres Administracji: Warszawa,
Al. 3 Maja 36
Cena egzemplarza: zł 100.— Prenumerata kwartalna zł 250.— Prenumerata kwartalna ulgowa zł 190.—
Konto PKO Nr VII-995, z zazn. „Myśl Współczesna“. Skład główny: Spółdzielnia Wydawnicza „Książka“.

MIECZYSLAW BIBROWSKI

O TEODORZE DURACZU

PISAĆ o Teodorze Duraczu — to dla kogoś, kto z nim spotykał się przez długie lata, dzień w dzień przy pracy i był świadkiem narastania wielkiego dzieła jego życia — zadanie radosne i smutne zarazem. Radość przynosi myśl, że wielki, ludzki ideał, któremu Duracz poświęcił trud swego życia, a w końcu samo życie, przybrał w Polsce cielesny kształt. Ciężko i gorzko pomyśleć, że nie może on oglądać tego tryumfu, gdyż musiał własnym życiem zapłacić jego cenę.

Historia kancelarii Teodora Duracza, przez którą przeszły tysiące działaczy komunistycznych jest nierozłącznie związana z dziejami walk o polską demokrację ludową w okresie międzywojennym. Archiwa, rejestry i akty, które na szczęście ocalały, stanowią bezcenne, często jedyne źródło dla badacza tego okresu. Niesposób byłoby zrekonstruować w ramach krótkiego szkicu ich przebiegłą treść, ich karty bolesne i bohaterkie, które stanowią wstęp do dzisiejszej naszej rzeczywistości, a które przepaja i łączy trud i spokojny entuzjazm Teodora Duracza. Nie sposób byłoby, nawet gdyby pamięć człowieka nie była zawodna. Ale nie o to tutaj chodzi. Chodzi o oddanie atmosfery, która ożywała gorącym tchnieniem kancelarii Teodora — dla garstki tych, którzy go znali i jeszcze żyją i wszystkich tych, którzy go nie znali.

Dla nas, którzy z nim blisko współpracowaliśmy, nie była to zwykła kancelaria adwokacka. Była to instytucja polityczna, legalna czołówka wielkiego ruchu społecznego, zepełnionego w podziemiu, który walczył o emancypację klasy robotniczej, chłopstwa i inteligencji pracującej, żywych sił narodu, o wolność i godność naszego kraju. W tej służbie, pod kierownictwem Duracza, łączyły nas

gorące i czyste uczucia ludzi, idących za głosem sumienia przeciw prądowi sanacyjnego karierowiczostwa i endeckiej tepoty. Cieszyliśmy się, że danym nam było spieszyć z pomocą towarzyszom wraconym do więzień, osadzonym w Berezie, i niezapomnianymi pozostałymi chwilami, kiedy Teodorowi udawało się wyrwać z krągów drutów kolczastych bojowników, którzy wracali do walki, i których nazwiska, jakże często i z jakim ciężkim sercem, trzeba było wpisywać po pewnym czasie, nanowo do rejestru naszych spraw.

Wybierając ciężką służbę obrońcy politycznego w międzywojennej Polsce, Teodor Duracz wchodził świadomie, jak przystało na bojownika sprawy ludu, na drogę wyrzeczeń i walki. Podkreślamy to: w chwili powrotu w roku 1919 z Rosji, ogarniętej wówczas pożarem rewolucji, do Polski, Duracz był już znanym cywilistą charkowskim, posiadającym racostwo wielkich przedsiębiorstw i doskonale zarabiającym. W Polsce rozwijał zrazu zyskowną praktykę, prowadząc sprawy Miejskich Zakładów Aproprowizacyjnych „Agris” i innych bogatych instytucji, ale wierność wyznawanym ideałom i potrzeba służenia im całą swą istotą sprawiły, że coraz więcej czasu poświęcał obronie towarzyszy. Trzeba stwierdzić, że czasu na tę praktykę zyskiwał coraz więcej, w miarę tego, jak tracił lukratywne racostwa i bogate sprawy, które uciekały od obrońcy „bolszewików”. Nigdy się w domu u Duracza nie przelewało; a czyż tak rzadkimi były wypadki, kiedy trzeba było pomóc „klientom” opuszczającym kancelarię, nie tylko dobrym słowem?

Ta naturalna zgodność przekonań z czynami — to cecha, charakteryzująca Duracza na trudnej drodze obrońcy politycznego. Pamię-

tam, jak kiedyś opowiadał mi o rozmowie z kolegą uniwersyteckim, który niegdyś wspólnie z Duraczem należał do tajnego studenckiego kółka socjalistycznego, a obecnie jako sędzia wyrokował w procesach komunistycznych. Sędzia wspominał z rozrzewieniem „nawne młodzieńcze” zebrania, od których czasu tyle się zmieniło...

— Ja, panie sędzio, nie zmieniłem się — odpowiedział Duracz.

Oczywiście dialogi z rzecznikami wymiaru sprawiedliwości Polski przedwojennej nie zawsze brzmiały tak sielankowo. Ileż to razy zdarzało się, że w czasie przewodu sądowego krzyżowały się zdania zimne i ostre, ile razy w czasie mowy obrończej Duracz z obrońcy przekształcał się w oskarżyciela ustroju uciśku i nędzy!

Nie był on adwokatem, pewnym swej nieetykalności i wygłaszającym z nad pulpitu obrońcy retoryczne frazesy bez cienia ryzyka. Był bojownikiem gotowym zawsze znaleźć się w szeregu oskarżonych towarzyszy, których bronił. Jego odwaga cywilna nie była brawurą, ale zdecydowaniem komunisty, biorącego świadomy udział w toczącej się walce.

Nikt lepiej nie określił jego pozycji, niż on sam, wolać do sędziów i prokuratora w jednym z wielkich procesów, wobec wypełnionej sali: „Panowie, dzieli was od oskarżonych barykada. Jestem po stronie oskarżonych. Znajdujemy się po przeciwnej stronie barykady”.

Jest faktem, że do kancelarii mieli wstęp nie tylko oskarżeni i ich rodziny, ale i bojownicy partii, na których nie opada jeszcze ręka politycznego wroga. Kancelaria pozostała w stałym kontakcie z działaczami MOPR'u (Międzynarodowa Organizacja Pomocy Rewolucjonistom), przekształconego pó-



Teodor Duracz

żej w „Czerwonej Pomocy”, z którymi Duracz uzgadniał linię obrony oskarżonych i masowe kampanie na ich rzecz: demonstracje i zbiórki na wolność, walkę w samym więzieniu, akcję protestacyjną przeciw zastraszającemu się reżymowi faszystowskiemu. Ilu jeszcze żyje z liczby tych towarzyszy, którzy zjawiali się na progu kancelarii w wyszarzanym paletku i korzystali z tego przywileju, że Teodor przyjmował ich przed innymi klientami? W ten sposób nauczyłem się rozróżniać ich, gdyż konspiracja była surowa i dopiero po bardzo wielu miesiącach wspólnej pracy dopuszczony zostałem do tajemnicy.

Tak więc Teodor Duracz, który bronił towarzyszy przed represją w imię legalności półfaszystowskiego reżymu, sam żył na granicy legalności i nielegalności. Kancelaria, której adres był przecież dobrze znany wszystkim funkcjonariuszom defensywy, ciągle była narażona na najście policji, a Teodor na aresztowanie. Ale jego imponująca nawet przeciwnikom odwaga i wysoki szacunek, jakim, dla swego gruntownego znawstwa prawa cieszył się wśród sędziów, sprawiły, że wyciągnięte ku niemu wielokrotnie ręce policji okazywały się za krótkie. Czyż nie jest faktem, że o wytoczeniu mu sprawy zamyślał sam prokurator do spraw politycznych i szpiegowskich, osławiony Dominik Piotrowski, pupilek ponurej pamięci ministra Grabowskiego, postrach matek i żon uwieczonych, człowiek, który zebrał ciężar przekleństw i łez chorych, męczonych więźniów, niemniejszy od ciężaru całych stuleci uzyskanych wyroków skazujących.

Obraz kancelarii nie byłby pełny, gdybyśmy nie wspomnieli kilku postaci, zróżnicowanych z nią nierozłącznie. Któż z „bywalców” nie pamięta pięknej postaci Karola Winawera, mego poprzednika na stanowisku aplikanta Teodora, później samodzielnego praktykującego obrońcy politycznego? Trawiony potrzebą walki z przemocą i gwałtem, którą Teodor zaszczeplił swoim wychowaniem, kontynuował za okupacji dzieło obrony prześladowanych, fabrykując dla nich fałszywe papiery i zostając bestialsko zamordowany przez zbirów hitlerowskich.

Pisząc o atmosferze panującej w kancelarii Teodora Duracza, trudno nie wspomnieć o jego dzieciach. Syn, Jurek, krnąbrny i hałaśliwy niepokoił go trochę. Co z niego wyrośnie? Wyrósł jeden z pierwszych odważnych żołnierzy wolności, który podjął walkę zbrojną z najeźdźcą podczas okupacji. Jako członek tak zwanej „specgrupy” brał udział w słynnym zamachu na „Café-Club” i w akcji bombowej na kina Wehrmachtu. Teodor, który za okupacji mieszał konspiracyjnie, służąc ruchowi swym wielkim doświadczeniem i radą, przesłał mu kiedyś kartkę tej treści: „Dumny ze swego syna”.

Słowa te brzmiały jak wyjęte z budzącej przypowieści moralnej dla dzieci. Zostały jednak napisane naprawdę przez człowieka ściganego aż do śmierci przez Gestapo, do syna, walczącego z przemocą najeźdźcy, w ciągłym niebezpieczeństwie życia. W słowach tych żyje dumna postać Teodora Duracza.

Niesposób też pisać o Duraczu nie wspomnieć, choćby w jednym zdaniu, Stefanii Sempolowskiej, której majestatyczna postać wielkiej damy minionego stulecia, była żywym ucieleśnieniem wielkich tradycji walczących o demokrację polską.

W czasie rzadkich przyjęć u Teodora, które zaszczycała swą obecnością „pani Stefania”, zbierały się trzy pokolenia bojowników rewolucyjnego socjalizmu: pokolenie, które prowadziło walkę w początku stulecia z carskim najeźdźcą, pokolenie, które ją kontynuowało przeciw rodzimej reakcji burżuazyjnej, spoglądając ku zwycięskiemu krajowi socjalizmu, rewolucyjnej Rosji i pokolenie, które miało podjąć walkę z najeźdźcą hitlerowskim i doczekać się Polski, będącej ucieleśnieniem marzeń wszystkich pokoleń poprzednich, niepodległej i wyzwolonej społecznie.

W tym wysokim klimacie walki kancelaria Teodora Duracza nie mogła pozostać tylko placówką obrony, ale przekształcić się musiała nieuchronnie w przyczółek ataku, w kuźnię działań zaczepnych.

Niesposób wymienić w krótkim szkicu wszystkie ważniejsze procesy, które przeszły

O EWOLUCJI LITERACKIEJ

(Dokończenie ze str. 5)

Podobnie też „Eugeniusz Oniegin” miał być początkowo „poematem satyrycznym”, w którym autor chciał dać upust swej „złości”. Tymczasem, w trakcie pisania czwartego za ledwiego rozdziału Puszkina pisze: „Gdzież tu satyra? Ani śladu jej nie zostało w moim „Eugeniuszu Onieginie”.

Funkcja konstruktywna, korelacja elementów wewnątrz utworu redukuje „konceptję autora” do roli fermentu. „Swoboda twórcza” jest — jak się okazuje — hasłem optymistycznym, tym niemniej — nie ma realnego odpowiednika i musi ustąpić placu „przymusowi twórczemu”.

Funkcja literacka, korelacja utworu i szeregu literackiego winęczy dzieło.

Jeśli usunąć teologiczny odcień „zamiaru” z pojęcia „orientacji”, „konceptji” autorskiej, to okaże się, że orientacja utworu, jako elementu szeregu literackiego, jest niczym innym, jak funkcją językową utworu, wykładnikiem jego stosunku do życia codziennego.

„Oda” Lomonosowa, zorientowana była na orację, jej funkcja językowa, miała charakter oratorski. Wyrażenia i zwroty dobrane były pod kątem ich przydatności dla recytacji i to recytacji w sali pałacowej.

Później, w epoce Karamzina, oda „zużyła się” literacko. Zanikła, czy też straciła na znaczeniu orientacji, która znalazła upust w innych formach, tym razem — stosowanych w życiu codziennym. Ody — rocznicowe, imieninowe i in. uległy degradacji, spowszedniały (nosiły nawet w Rosji charakterystyczną nazwę „wierszy szynelowych”). Gotowych nowych gatunków literackich na podórędku nie było. I oto — miejsce ody zajmują potoczne zjawiska językowe. Funkcja językowa, orientacja, tendencja języka szuka odpowiedniej formy i znajduje ją w romansie, kalamurze, bournie, szaradzie itd. I tu także o kierunku ewolucji w znacznej mierze przesądza moment genetyczny a mianowicie obecność w mowie potocznej takich czy innych form. Dalszym szeregiem (dziedzina) życia codziennego warunkującym istnienie tych zjawisk językowych w epoce Karamzina był salon. Salon — faktor obyczajowy, element życia praktycznego, staje się w tym okresie faktorem literackim. Tak się odbywa proces adaptacji przez funkcję literacką form mowy potocznej, elementów życia codziennego.

Podobnie też — intymna, towarzyska, rodzinna semantyka istnieje zawsze, jednak funkcję literacką spełnia ona tylko od czasu do czasu.

Dzisiaj również mamy analogiczne do przytoczonych powyżej przykłady walki dwóch koncepcji: wiecowa koncepcja wierszy Majakowskiego („oda”) walczy o lepsze z kame-ralną, romansową koncepcją Jesienina („elegia”).

11. Funkcjonalne właściwości języka należy mieć na uwadze także przy rozpatrywaniu problemu kontrexpansji, przenikania literatury na teren życia praktycznego. „Postawa poetyczna”, „osobowość autora”, „bohater literacki” — są to — różne dla każdej epoki wykładniki językowych tendencji literatury. Z niej dopiero przenikają one na teren życia codziennego. Tak ma się rzecz z lirycznymi bohaterami Byrona, zależnymi od jego „postawy literackiej”, tj. od literackiej fikcji jego osobowości która bytowała w wyobraźni czytelników w rezultacie lektury. Tak ma się rzecz z „literackim” Heine, który zupełnie realnego Heine nie przypomina. Niekiedy biografia literata niczym nie różni się od apo-

kryfu. Dokonywa się to zgodnie z prawami rozwoju gatunku, w związku z tendencjami językowymi danego systemu: przykładem — Puszkina, Tolstoj, Blok, Majakowski, Jesienin. Por. z brakiem osobistego literackiego mitu u Leskova, Feta, Majkova i in., co jest rezultatem braku w ich utworach językowej tendencji do kształtowania obrazu „indywidualności autora”. Dla ekspansji literatury na teren życia codziennego niezbędne są, rzecz jasna — odpowiednie warunki społeczne.

12. Oto najbardziej bezpośrednia (choć bynajmniej nie najważniejsza) funkcja społeczna literatury. Badanie i ustalenie jej charakteru możliwe jest tylko drogą studiów nad szeregiem sąsiadującymi. Nic tu nie da przy-ciąganie za włosy odległych, choćby nawet najważniejszych, szeregów przyczynowych.

Jeszcze jedno: pojęcie „orientacji” funkcji językowej odnosi się do szeregu literackiego, bądź do całości systemu literackiego, nie zaś do pojedynczych utworów. Należy utwór u-mieścić w odpowiednim szeregu literackim, a potem dopiero mówić można o jego tendencji i orientacji literackiej. Prawa rządzące wielkimi liczbami stosują się do ułamków. Ustalając z miejsca koligację poszczególnych utworów z ich dalszymi szeregami przyczynowymi — badamy właściwie nie ewolucję literatury lecz jej modyfikację — miast przemian, zachodzących w literaturze.

Stosownie do ewolucji innych szeregów — rozpatrujemy li tylko problem deformacji literatury przez owe szeregi — problem, godny wprawdzie specjalnych badań — ale już w zupełnie innym aspekcie. Szczególnie niepewna byłaby tu bezpośrednia metoda badań nad psychologią twórczości i przetwarzanie kładki przyczynowej między środowiskiem, życiem codziennym i przynależnością klasową autora a jego utworami. Poezja erotyczna Batiuszkowa powstała na podłożu jego studiów nad językiem poetyckim (por. jego prelekcję „O wpływie poezji krotkochnilnej na język”) przy czym Wlaziński wzbraniał się szukać jej źródeł we właściwościach psychicznych Batiuszkowa. Poeta Polonskij, który acz nigdy nie parał się teoryzowaniem jednakże jako poeta i mistrz w swej dziedzinie znał się na tych sprawach — pisze o Benediktowie „bardzo być może, że surowa przyroda, widoki pól i lasów... wywarły wpływ na wrażliwą duszę dziecięcą przyszłego poety, ale cóż to był za wpływ? Trudno to pytanie i bez naciągania i przesady nikt na nie odpowiedzieć nie jest w stanie. To nie przyroda, jednakowa dla wszystkich, gra tu rolę decydującą. Typowe dla artystów przełomy w dziedzinie twórczości nie dadzą się objaśnić ich konfliktami wewnętrznymi. Przykładem niech służy przełom w twórczości Dzierżawina i Niekrasowa, którzy w młodości uprawiali wzniosły rodzaj poetycki na równi z przyziemną poezją satyryczną, co przy sprzyjających warunkach doprowadziło do syntezie rezultatem której był szereg nowych zjawisk literackich. Nie ulega wątpliwości, że zasadniczą rolę grają tutaj nie subiektywne przyczyny psychiczne, lecz warunki obiektywne, a mianowicie ewolucja funkcji szeregu literackiego w stosunku do najbliższego szeregu społecznego.

13. Z tej też przyczyny należy poddać re-wizji jeden z najzawilszych literackich problemów ewolucyjnych: problem „wpływu”. Istnieją głębokie psychologiczne i osobiste, obiektywne charakteru oddziaływania, które w żadnym wypadku nie ujawniają się w literaturze (Czadajew i Puszkina), zwłaszcza

my się także z oddziaływaniami, które modyfikują, deformują literaturę, nie posiadając przy tym znaczenia ewolucyjnego (Michajłowski i Gleb Uspieński). Zdziwiałe, że mając nieraz wszelkie dane ku temu, by oczekiwać uzewnętrznienia się wpływu — nie dostrzegamy go zupełnie. Przytoczyłem już przykład Katenina i Niekrasowa; przykładów takich można znaleźć wiele. Plemiona południowo-amerykańskie stworzyły mit o Prometeuszu zupełnie samodzielnym. Mamy tu do czynienia z faktami konwergencji. Fakty te mają tak wielkie znaczenie, iż psychologiczne podejście do zagadnienia „wpływu” traci rację bytu, a sprawa pierwszeństwa chronologicznego — „kto pierwszy powie-dział” — staje się nieistotną. „Wpływ” może mieć miejsce tylko w takiej formie i kierunku, dla jakich istnieją w danym okresie warunki literackie. Artysta ma wówczas do dyspozycji — w wypadku konwergencji funkcji — elementy formalne dla utrwalenia i rozbudowy wspomnianych funkcji. Jeśli tego „wpływu” brak, to analogiczna funkcja może nawet bez jego udziału kreować analogiczne elementy formalne.

14. Tu czas już zastanowić się nad zasadniczym dla historii literatury pojęciem „tradycji”. Jeśli przyjmujemy, że ewolucja równa się zmianie stosunku czynników względem siebie i systemu, tzn. — zmianie funkcji i elementów formalnych — to ewolucja okaże się zmianą systemów. Zmiany te mają w różnych epokach to powolno, to znow gwałtowny charakter, przy czym nie może mieć miejsca nagły i zupełny przewrót w dziedzinie formy; elementy formalne otrzymują jedynie nowe funkcje. Dlatego też przy porównywaniu tych czy innych zjawisk literackich należy brać pod uwagę nie tylko ich formę lecz i funkcję. Zupełnie niepodobne do siebie czynniki różnych systemów funkcjonalnych mogą pełnić podobne funkcje i odwrotnie. Zagadnienie gmatwa się tu z uwagi na to, że każdy kierunek literacki w danym okresie „szuka” dla siebie punktów oparcia w poprzedzających systemach, co właśnie nosi miano „tradycyjności”.

Tak np. funkcja prozy Puszkina bliżej jest spokrewniona z funkcją prozy Tolstoj niż funkcja wierszy Puszkina — z funkcją wierszy jego naśladowców (30-te lata XIX w.), z Majkowem włącznie.

15. Reasumując: badanie dróg ewolucji literatury możliwe jest tylko pod tym warunkiem, że literaturę uważać się będzie za system, związany z innymi systemami, stosunkiem wzajemnej zależności. Rozpatrywać ewolucję literatury należy przechodząc od funkcji konstruktywnej do funkcji literackiej i od literackiej do językowej.

Badanie winno mieć na celu wyjaśnienie charakteru współdziałania ewolucyjnego funkcji i formy. Studium ewolucyjne winno zwracać uwagę na najbliższe — przede wszystkim — na najbliższe korelatywy systemu literackiego, a nie na odleglejsze, choćby miały one znaczenie zasadnicze.

Przeważającego znaczenia podstawowych czynników społecznych bynajmniej się przez to nie neguje. Przeciwnie, w zagadnieniu ewolucji literackiej występuje ono w całej okazałości. Bezpośrednie zaś stwierdzenie „oddziaływania” podstawowych czynników społecznych ogranicza studia nad ewolucją literatury do rozpatrywania procesów przemian i deformacji utworów literackich.

tłumaczył Jerzy Pomianowski

przez naszą kancelarię i w których, jak w soczewce skupia się historia polskiego ruchu rewolucyjnego w okresie międzywojennym.

Nie usiłując rywalizować w tej mierze z historykiem, pragnę zatrzymać się na migawkowych wspomnieniach osobistych, które ukażą w jaki sposób działalność obrońcy Teodora przeobrażała się w atak na innych odcinkach frontu.

W okresie sławnego procesu łuckiego, który zaznaczył się szczególnym zezwierzaniem policji, gdyż w czasie dochodzenia jedną z oskarżonych zgwałcono, drugą rozebrano do naga i szczerzo psami policyjnymi, oskarżonym zaś wybijano zęby i łamano ręce — zjawił się któregoś dnia do kancelarii Teodora Duracza adwokat paryski, Paul Vienney, aby wziąć udział w obronie oskarżonych. Przyjechał on z ramienia Międzynarodowego Stowarzyszenia Prawniczego, które skupiało postępowych prawników wielu krajów Europy. Była to pierwsza wizyta zagranicznego gościa w naszej kancelarii, jaką pamiętam — choć wizyt takich było tam więcej. Bawiła później w delegacji z Francji, Madame Lahy-Hollebeque, wybitny pedagog, w towarzystwie Zimmermanna, wówczas działacza francuskiej „Czerwonej Pomocy”, zjawił się później Jean Painlevé, syn wielkiego ministra francuskiego, sam wybitny pionier filmu naukowego, w towarzystwie znanego adwokata brukselskiego, Bastrena, podobnie jak Duracz, zamordowanego w roku 1943 przez Gestapo oraz działacza francuskich Związków Zawodowych Denise Morand — celem zebrania danych o Berezie Kartuskiej.

Te delegacje intelektualistów - demokratów z Zachodu, przybywały, aby dowiedzieć się o walce i martyrologii polskich rewolucjonistów, by potem w swym kraju rodzinnym, głosić prawdę o ich losie, oraz w imię tej prawdy organizować pomoc dla polskich towarzyszy — a również by w imię ich przykładu, wzmacniać walkę z własną reakcją w duchu międzynarodowej solidarności. Kancelaria Duracza była ambasadą polskiej demokracji rewolucyjnej wówczas, kiedy jej bojownicy wypełniali polskie więzienia.

Ale kontakty te miały inne jeszcze, płodne znaczenie. Cudzoziemscy przybysze przywozili ze sobą nowiny — o francuskim Frontie Ludowym, o czynnym udziale w akcji intelektualistów i w czasie rozmów u Duracza z polskimi przyjaciółmi, w których liczbie wymienić trzeba nieżyjącego senatora Boguszeńskiego i obecnego wicemarszałka Sejmu, Wacława Barcikowskiego, coraz jaśniej kryształowała się konieczność rozszerzenia i pogłębienia działalności w środowisku naszej inteligencji a zwłaszcza konieczności przyciągnięcia ku polskiemu ruchowi rewolucyjnemu wybitnych przedstawicieli literatury nauki i sztuki, którzy — byliśmy tego pewni — pójdą za głosem tradycji polskiego postępu i humanizmu. Chodziło o rozszerzenie i pogłębienie ruchu — nie o jego zainicjowanie. Inicjatywa powzięta została wcześniej i znowu wiąże się ona z imieniem Duracza.

W roku 1933 stanęła przed sądem doraźnym w Kobylniku, grupa bojowników o wolność ludu białoruskiego Regina Kapłan i około dwunastu chłopów białoruskich, oskarżonych o przygotowanie zbrojnego powstania i zagrożonych wyrokiem śmierci. Na czele ławy obrońców stał Duracz.

Ruszyliśmy wówczas, pod przewodnictwem Teodora do szturm! Prowadzona z udziałem Karola Winawera kampania przeciw sądom doraźnym, dosięgła szczytu. Dzielny udział w niej wzięła Helena Felsenhardtówna, później Zatorska. Zaapelowaliśmy do pomocy czołowych przedstawicieli polskiej literatury.

Mimo atmosfery terroru i wsieckiej nagonki reakcyjnej prasy, mimo nacisku sanacyjnego aparatu, wszyscy — z jednym wyjątkiem pisarza, którego nazwisko przemilczę, ponieważ nie żyje — odpowiedzieli na apel! Pod protestami, pod depeszmami do Mościckiego znalazły się podpisy: Boya-Zeleńskiego, Irzykowskiego, Zofii Nałkowskiej, Parandowskiego, Boguszeńskiego, Słonimskiej, Jana Nepomucena Millera, Kuncewiczowej, Ewy Szelburg-Zarembiny i Rudnickiego. Pamiętam wszyscy piękny raport Zarembiny pod ironicznym tytułem „Myjcie owoce”, w którym autorka temu modnemu wówczas sloganowi handlowej higieny przeciwstawiała niedole oskarżonych, nad którymi zawisła groźba śmierci.

I ta sama Regina Kapłan, która powiedziała: „hardo sędziom, nie boję się waszego sądu. Jedynym sądem, którego się boję, jest sąd proletariatu!” kiedy Teodor wręczył jej na sali sądowej numer „Robotnika” z protestem, zaopatrzonym podpisami luminarzy polskiej literatury — rozplakała się.

Wówczas to odnowiony został w Polsce, pod jarzmem sanacji, nierozzerwany sojusz, który łączył bojowników myśli z bojownikami ludu i który leży u podstaw demokracji ludowej.

W pewien czas potem dyskutowano u Teodora plan pisma, które by skupiło wokół siebie najlepszych szermierzy polskiej myśli w imię walki o demokrację i pokój, przeciw straceńczej polityce sojuszu z Hitlerem i przygotowywania wojny. Właśnie w kancelarii Duracza, mieszczącej się wówczas przy ulicy Kozielskiej — na Żoliborzu, nawiązano kontakt z pobliską Drugą Kolonią Warszawską Spółdzielnią Mieszkaniową, na której mieszkała Wanda Wasilewska. Pozyskana dla naszych planów stanęła na czele pisma, któremu nadano tytuł jej pierwszej książki: „Oblicze Dnia”. Romain Roland i Andrzej Strug udzielił pismu swej zgody, a wielu wybitnych intelektualistów francuskich nadesłało za pośrednictwem L. Hollebeque swój akces. Pismo to, pierwszy organ polskiego Frontu Ludowego w ciągu swego istnienia, gdyż niebawem zamknięte zostało przez policję, skupiło wokół siebie około siedem-

dzieściu wybitnych przedstawicieli polskiej literatury, nauki i sztuki.

Jest faktem, że u końca okresu międzywojennego kancelaria Teodora Duracza była nie tylko placówką obrony, ale i przyczółkiem ataku: ogniskiem myśli i działania, promieniującym na kraj, ogniskiem, w którym pod przewodnictwem naszego nieżyjącego mistrza i przyjaciela, wypracowywaliśmy plany szturmowe na ideologiczne bastiony inteligencji.

Ostatnim wielkim procesem, w którym broniłem obok Teodora, był proces obecnego wojewody śląskiego, generała Zawadzkiego, jego żony i towarzyszy. Oskarżeni byli o „wojskówek”, o pracę „wywrotową” w wojsku. Bronią oskarżonych przed atakami prokuratora, Duracz wykazywał, że byli oni prawdziwymi patriotami, uświadamiającymi żołnierzom, że narażeniem swej wolności i życia; skąd grozi prawdziwe niebezpieczeństwo, skąd runie na Polskę atak, niosący zagładę. Runie on nie od wschodu, ale od zachodu, od Niemiec Hitlera, że trzeba zawczasu przygotować obronę przed napastnikiem i że ZSRR jest naszym naturalnym sprzymierzeńcem w przygotowujących się zapasach ze śmiertelnym wrogiem naszego kraju. Jak szybko,

jak tragicznie szybko potwierdzić miała rzeczywistość słusność tych przewidywań.

W ostatnich latach naszej wspólnej pracy kancelaria wyłudniała się. Teodor Duracz był i pozostał do końca najlepszym, bezspornie, obrońcą politycznym Polski przedwojennej i jednym z jej najwybitniejszych karników. Ale z upływem lat sądowy proces polityczny w Polsce okresu międzywojennego przekształcał się w nienawistną rozprawę z podsądnym, którego samo postawienie w stan oskarżenia równało się, praktycznie, wyrokowi. Teodor, powszechnie znany jako obrońca komunistyczny, zaczął być uważany za „dowód rzeczowy” w sprawie: jego zjawienie się na sali, w oczach wielu, niesłusznie zresztą, przesądzało o skazującym wyroku. Tragiczny paradoks! człowiek, który żył obroną i dla obrony, musiał się jej wyrzec, aby, rzekomo, nie ułatwiać zadania oskarżeni! Zniknęły niezliczone chmary klientów, które wypełniały poczekalnie na ulicy Złotej; było ich mniej na Placu Inwalidów; mniej jeszcze na ulicy Kozielskiej. W ostatniej siedzibie kancelarii. Odtąd bronił Teodor tylko w wielkich sprawach, gdzie nierzadko groziła kara śmierci, jak w pamiętnej sprawie Prytyckiego,

który strzelił na sali sądowej do prowokatora Strelczuka. Pisywał trudne kasacje, słuszy radą młodszych kolegów, ale zdarzało mu się markotnie. Rosły kłopoty materialne i przyplątała się ciężka choroba: angina pectoris.

Widziałem go poraz ostatni jesienią 1938 r., kiedy ruszał w daleką drogę: żegnał mnie tym łagodnie — smutnym uśmiechem, który go nie opuszczał.

Wiem, że za okupacji Teodor podjął walkę na nowo, tym razem pełną walkę konspiracyjną, rozwijając wielką energię, jakby się spieszył, aby wypełnić dni, które mu jeszcze zostały, najintensywniejszym działaniem. Poległ w tej walce, która zakończyła się akordem pełnym chwały wielkie dzieło jego życia. Zginął jak setki i tysiące naszych najlepszych towarzyszy, lepszych i cenniejszych od nas, bardziej od nas potrzebnych, których los nie oszczędził, wkładając nam, żywym, na barki jakże ciężkie zadanie: okazania się godnymi naszych starych mistrzów i przyjaciół, których nie ma między nami, a których dzieło, dźwignię ramionami żyjących rośnie i triumfuje.

Mieczysław Bibrowski

JAKUB LITWIN

„Wspomnieniach” Ludwika Krzywickiego



Ludwik Krzywicki

„Wspomnienia” Krzywickiego — to piękna i poruszająca historia wędrowki inteligenta ze środowiska szlacheckiego do socjalizmu.

Dzieciństwo spędził młody Ludwik w Plocku, w domu dziadka — Franciszka Ksawerego Iwanickiego, uczestnika powstania listopadowego, który „traktował Krukowieckiego, jako zdrajcę, Chłopcickiego, jako starego niedołęę, wyróżniał jedynie w sposób dodatni generała Prądzynskiego, który miał być do brym strategiem i generała Skrzyneckiego, którego całym nieszcześciem było, że go później powołano na główne dowództwo” (str. 34).

Ow dziadek był namiętnym wielbicielem budownictwa. Budował bezustannie domki parterowe i kamienice, altany i ploty. „Wszystko to było maszynowe, obliczone na pokolenia jedno i drugie, i trzecie, ale pochłaniało moc pieniędzy, mnożyły się długi, dochód zaś w stosunku do długów mały, aż przyszedł czas, gdy trzeba było sprzedać część gruntów i dom przy ulicy Królewskiej, opuścić Plock i wynieść się na wieś do syna” (str. 38).

Plock był wówczas miasteczkiem niewielkim, ale schludnym i starannie utrzymanym. Mieszkali w nim przeważnie różnorakiego rodzaju rentierzy i inteligencja wolnych zawodów. Wyznawano powszechnie lojalizm — ale w rzeczywistości panowała polska kultura. Zamieszkał w miasteczku Rosjanin nie odgrywał poważniejszej roli. Nie mało było też wśród nich przyjaciół Polski. Kiedyś jeden z Rosjan, Romanko-Romanowski, wysoki dostojnik sądowy, w jakimś towarzystwie polskim zagrał „Boże, coś Polskę” — a gdy wśród zebranych zapanowała powszechna konsternacja — pożegnał się i wyszedł, oświadczając gospodarzowi, że rozczarował się wielce.

Tutaj też urzędował Bardowski, sędzia — Rosjanin, który wraz z Ossowskim, Kunickim i Piertruszkowskim zostanie skazany w wielkim procesie „Proletariatu” na karę śmierci i zawiśnie na szubienicy.

Życie w Plocku biegło potocznie trybem. Było dostatecznie nudne i statecznie nierzuciwe. Coraz częściej jednak opinia publiczna doznawała wstrząsów — bo tu musiał ktoś sprzedać majątek, komus innemu znów rozparcelowano posiadłość. „To znowu ktoś inny wyżył się swoim majątkiem, ocenianego od dziadów i pradziadów na tyle to wólk. Nabywca kazał pomierzyć grunt w celach parcelacji i, zamiast dwudziestu, znalazł wólk trzydziści. I zawsze w tych opowieściach wełkane pojęcia musu, musiał, był zmuszony...” (str. 53).

Akt uwłaszczeniowy działał systematycznie i bełzitośnie. Dekret likwidował formację gospodarczą, której nie mogły zniszczyć wewnętrzne ruchy społeczne.

„Katastrofa dworów wiejskich tkwiła całkowicie w nieprzygotowaniu ich do stawie-

nia czoła skutkom uwłaszczenia... Było coś w naturze ziemianina, a właściwie w całym ukształtowaniu stosunków gospodarczych w naszym kraju, co z obywatela ziemskiego czyniło postać mało elastyczną” (str. 143).

Ziemianstwo i warstwa urzędnicza ulega społecznej degradacji.

Krzywicki uczeszczał wówczas do gimnazjum plockiego. Poziom wykładów był niski. Fizyka na przykład odbywała się bez pracowni. Było to gimnazjum „na wymarcu”. Nauczyciele — starzy wiekiem, schorowani — byli zbyt uczciwi, by uczyć według rządowego programu, zbyt zaś ubodzy — by porzuceniem pracy, zgłosić protest. Były to tragiczne postaci ludzi, którym bieg faktów historycznych nie pozwalał ani żyć ani umrzeć społecznie. A młodzież? Wiedza miała w ich oczach wartość bezużytecznego odpadku. Mieściła się poza kręgiem ich doświadczeń życiowych. Wielu więc odpadało. „Pomiędzy całkowicie lub częściowo odrzucanymi byli i mało zdolni, którzy pomimo wszelkich starań i pracowitości nie mogli podolać wymaganiom szkolnym, zwłaszcza wśród kolegów pochodzących z dworów... Tesknili do swobody, którą mieli u rodziców, do ruchu na świeżym powietrzu, do interesowania się sprawami gospodarstwa. Ofiarą braku zdolności padali goszcząco daleko od oficjalnej szkoły spośród zabiedzonych rodzin urzędniczych... W sferze tej dużą rolę odgrywały także małe zainteresowanie się sprawami umysłowymi” (str. 114). Odpadali — bo żyjąc w ramach stanowych przywilejów i bezmyślnej rutynie, obdarzeni prawami i nie przynuszeni do obowiązków — nie rozumiejąc zasad społecznej dyscypliny i twórczego wysiłku.

Ludwik normalnym trybem przeszedł gimnazjum. Był chłopcem zdolnym i bystrym. Patrzał na świat i myślał.

„We dworach odbywał się przełom duży — dawni właściciele znikali, nowi zjawiali się. Powstawali z drobnej szlachty, spośród oficjalistów, z rodzin, gdzie któryś z członków został księdzem proboszczem, a tym bardziej zajęł jakieś wyższe stanowisko” (str. 149).

W miastach wyrasta wielki i mały przemysł — a wraz z nim — burżuazja, drobnomieszczaństwo i proletariatu. Burżuazja pochodzi w przeważającej mierze z zagranicy, drobnomieszczaństwo wytwarza się w procesie rozpadu feudalnych klas mieszczańskich i szlachty, proletariatu — to w większości, wyrzucana ze wsi biedota chłopska. Burżuazja buduje wielkie przemysły — i nienawidzi klasy robotniczej, drobnomieszczaństwo też buduje — ale drobny przemysł, małe przedsiębiorstwa, mały handel, żyje z renty — i też z pogardą spogląda na proletariatu — uczuwa jednak również strach przed burżuazją. Nosi w ciele podwójną kontuzję. Z podwójnego uchwytu ucieka na szklaną górę marzeń szlacheckich. A proletariatu — walczy po prostu, o prawo do życia.

„Przełom... znalazł dla siebie wyraz w pozytywizmie warszawskim, ale wykoślawiony i właściwie obojętny, i dlatego milczący w obliczu katastrofy, która sięgnęła do dworów i dworów wiejskich” (str. 143).

Krzywicki nie zadowolony się jednak ideologią pozytywizmu, którą była tylko drobnomieszczańska filozofia zamkniętych oczu. Po złożeniu egzaminu dojrzałości zapisuje się na uniwersytet warszawski. Wchodzi w środowisko studenckie i bierze w nim żywy udział.

„Ze stroniono od zagadnień politycznych, jest rzeczą pewną” — pisze w uwagach o tym środowisku. Była sprawa wystąpienia delegacji na pogrzeb Aleksandra II. Młodzież protestowała i burzyła się — ale bała się samodzielnie wystąpić, bez zasięgnięcia rady starszych. Kogo się jednak radzić, gdy społeczeństwo, jak wielki strus, wsadziło głowę w piasek. Wysłano w końcu kilku studentów do profesorów — Rosjan — z przekonaniem liberalów. Argumentacja profesorów — ostatecznie buntowniczy nastrój młodzieży.

Na trumnie cara, wśród wielu innych znalazł się również wieniec od polskich studentów — choć później delegacja szeroko tłumaczyła się ze swego postępu i była niejako w pogardzie. Ale fakt pozostał faktem — nie zdołano przeciwdziałać wystąpieniu wienca.

Kie indziej jakaś grupa studencka, po nocnej zabawie, solidnie wstawiona — wywiesiła około dworca Wileńskiego czerwony sztandar. Czyn studentów wywołał wzburzenie w mieszczańskim społeczeństwie — które holdowało lojalizmowi. „Warszawa trzęsła się z oburzenia” (str. 177). A studenci wstydziły się swego postępu — wielu wyraziło skruchę.

Szerzyły się bezwzględnie wśród studentów „buntownicze” idee. Utworzono „uniwersytet latający” i Koła Oświaty Ludowej — dwie instytucje o charakterze drobnomieszczańskim — z narodnickimi hasłami; wędrowki inteligencji w lud i oświaty dla ludu. Jak Comte pragnął teorematami wyzwoić uciśnionych. Ale uciskani nie zrozumieli ich, podobnie jak nie zrozumieli Comte’a. Duszą Koła był Brzeziński. „Brzeziński” siedzi na prawo, przechodząc wszystkie ewolucje ludowe — aż do przekształcenia się ich w endecję... Niezawodnie w chwili ukończenia uniwersytetu skończył już obrachunki z sobą, co ma robić; trzeba nie jątrzyć zbyt mocno antagonizmów, więc nie zadziarać z religią, nie podburzać przeciwko dworowi, choć nie bronić jego nadużyć” (str. 181-2).

Nastroje, którym ulegała inteligencja niczym nie różniły się od nastrojów społeczeństwa — będącego pod przemożnym wpływem drobnomieszczaństwa. „Kiedy znalazłem się na uniwersytecie, atmosfera wśród młodzieży nie była inną (niż wśród społeczeństwa) — przyp. J. L.).

I czy mogła być inna? Jakaż bowiem funkcję spełniał uniwersytet? Był instytucją w ramach społeczeństwa mieszczańskie i przygotowywał do działania i współżycia z nim. Był drogą legalnego awansu, którego finał stanowił mieszczański-szlachecki salon i jałowa beznadziejność, a co najwyżej subtelny dowcip, inteligentna dysputa — i tyle.

Ale powoli wybijać się zaczęła wśród młodzieży niewielka ale energiczna grupa — która za zadanie sobie postawiła budzenie społeczeństwa z uciążliwego letargu w 1883 roku. W rok po założeniu przez Waryńskiego „Proletariatu” zorganizowano tzw. „schodkę” apuchtinowską — by zwolna przejść do walki o wyzwolenie klasy robotniczej.

Byli to ludzie, którzy pojęli brutalność społeczną burżuazji, tragedię polowiczności drobnomieszczaństwa i własnymi oczyma oglądali upadek dworu. Niewiele mieli wspólnego z inteligencją mieszczańską.

Krzywicki czuje do nich wyraźną sympatię.

Gdy po ukończeniu studiów, z powodu prześladowań politycznych — wyjeżdża za granicę — do Niemiec, Francji, Szwajcarii — będzie przebywał przeważnie w ich otoczeniu. Ukażą się postaci — Jankowskiej, Mendelsona, Dłuskiego, rewolucjonistów rosyjskich, których Krzywicki uważał za najpewniejszych sojuszników polskich socjalistów. Pisze artykuły do „Walki klas” głównego organu „Proletariatu”. Realizuje wielkie dzieło — przyswajając Polsce pierwszy tom „Kapitału” i inne pomniejsze pisma klasyków naukowego socjalizmu.

Za granicą osiąga też całkowitą samowiedzę społeczną. Zostaje jednym z pierwszych w Polsce szermierzy marksizmu.

Pierwszy tom „Wspomnień” — to świadectwo długiej i żmudnej wędrowki inteligenta ze środowiska szlacheckiego do socjalizmu. Była to w Polsce droga rewolucyjna, przez samo chociażby wskazanie, że funkcja społeczna inteligenta nie musi się zamykać w ramach kultury mieszczańskiej, przeciwnie, jest dowodem, że dopiero wyjście poza mieszczaństwo — rozszerza jej możliwości. I zapewne nie bez przyczyny pisał Znaniecki, że najbardziej płodną dla socjologii jest ta droga, którą kroczy Krzywicki.

Biografia Krzywickiego to obraz drogi człowieka, który przełamał zarówno szlachecki jak i mieszczański krąg pojęć i doszedł do światopoglądu świadomego uczestnika walki o społeczeństwo socjalistyczne. „Spokój wasz się jednak czasami przerywa” — pisał „Przedświt” w listopadzie 1880 roku do mieszczaństwa. Krzywicki był wówczas bezwzględnie jednym z dzwonników, przerywających błogi sen klas posiadających.

Jakub Litwin

*) Ludwik Krzywicki — Wspomnienia. — Sp. Wyd. „Czytelnik” W-wa 1947, str. 278.

JERZY KRECZMAR

Z TEATRÓW WARSZAWSKICH

DOM POD OŚWĘCIMIEM

PREMIERA odbyła się już dawno, ale rozgwar dokoła przedstawienia jeszcze trwa, więc rzecz jest ciągle aktualna.

Polskie sztuki współczesne nie cieszyły się w ostatnich dwu latach zbytnim powodzeniem u publiczności warszawskiej, nie dziwnego zatem, że idąc z pomocą teatrowi, który włożył w sztukę młodego autora wiele wysiłku, postanowiono teren przygotować i zainteresowanie niecc zorganizować. Wynik przeszedł oczekiwania. Przedstawienie stało się zdarzeniem, dokoła sztuki powstał taki tłok i ścisk sprzecznych ocen, tyle ruchu „ideologicznego”, że wreszcie trzeba się było zająć jego regulacją i w tej niejako roli — regulatora — wystąpiło „Odrodzenie”, próbując dyskusję uporządkować, powykreślać jakieś linie kierunkowe i zwolnić jej tempo.

W rezultacie trudno dziś pisać o przedstawieniu w oderwaniu od owej aury dyskusyjnej, która nadała utworowi sens szerszy, zwłaszcza, że autor był tu sądzonej podwójnie, bo podwójnie się wypowiedział: w sztuce i w komentarzu dorzuconym do programu.

Miedzy jedną a drugą wypowiedzią istnieje rozbieżność — choć może nie tak ostre, jak to odczuła publiczność, przynajmniej ta jej część, która głośno swoje poglądy sformułowała.

Głos słuchaczy — tych najbardziej szarych i tych najbarwniejszych — był na ogół zgodny. Autor niepotrzebnymi uwagami stara się zniekształcić sens własnego utworu. Postacie negatywne — Jerzego, Marię, Aloiza — stara się obronić. Co ustawił trafnie w sztuce, przetasowuje niezręcznie, psuje, przeszkadza, drażni. Złe robi. Rozgrzeszając wszystkich — rujnuje logikę swej sztuki.

Myślę, że ów powszechny wyrok na glossy autorskie, jest wyrokiem niesłusznym. Rzecz się przedstawia inaczej.

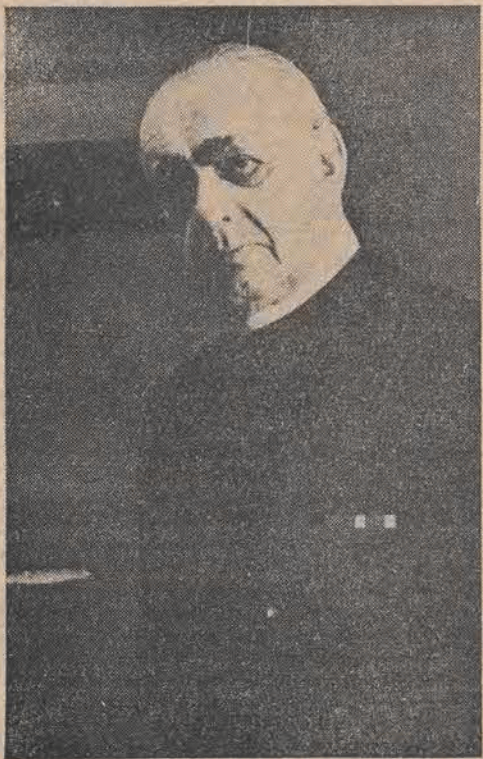
Nie leżało zapewne w zamiarach autora rzucenie na deski sceniczne rozpraw, wyprawdzających o rzeczach i ludziach wnioski reprezentatywne dla jakiegokolwiek, choćby jego własnej, ideologii i programu. Chciał zbudować dramat. Wiedział — jak wszyscy to wiedzą — że istotne konflikty dramatyczne rodzą się tam, gdzie ścierają się racje sprzeczne, dobrze, przekonywująco uzasadnione. Chciał dać sztukę o ludziach prawdziwych. Wiedział, że ci ani we własnych, ani w cudzych — byle różnych oczach nie bywają monolitami cnoty albo występku. Nie miał tak ostrego serca jak realisci francuscy, którzy — wedle recepty Flauberta — pragnęli wszystko umazać tym samym błotem, aby dać świadectwo sprawiedliwości. Spróbował znaleźć własną formułkę na sprawiedliwość: „najlepszy człowiek może być zbrodniarzem; najlepszy dla swoich bliskich, rodziny, kraju, towarzyszy — bywa łotrem w stosunku do innych ludzi i innych krajów”. Starał się zbudować konflikt pomiędzy ludźmi, którzy się różnią powiązaniami społecznymi, wychowaniem, aspiracjami, rodzajem aktywności życiowej, słowem — reprezentują różne hierarchie wartości.

I rzecz mu nie wyszła. Nie potrafił sytuacji zrównoważyć, pozycji wielu postaci wystarczająco uzasadnić. Wbrew intencjom powstała sztuka ze światem zbawionych (ksiądz, Franciszka, Jan i partyzanci) i światem potępionych (Jerzy, Maria, Aloiz). Autor się przestraszył. Wyczuł trafnie czego dzieło nie dostaje i postanowił rzecz wesprzeć słowem wstępnym. Oczywiście nie wiele w ten sposób wskazał. Sztuki nie uratował, co najwyżej mnożąc nieporozumienia dorzucił suchych drzew, które podsycały dyskusję. Gdyby tekst utworu istotnie zawierał to, co podsuwa mu autor — rzecz urosłaby do rangi poważnego, może wstrząsającego dramatu społecznego. Ale na to same intencje nie wystarcza. Sztuka pozostała tak, jak ją pozostawio-

*) Jerzy Borejsza — Krochmalizm czy realizm? Odrodzenie Nr 20 (181).



„Strzały na ulicy Długiej” Anny Świrszczyńskiej w Teatrze „Miniatury” w Warszawie Janina Martini i Leon Łuszczewski



Aleksander Zelwerowicz w sztuce T. Hołuj „Dom pod Oświęcimiem” w Teatrze Polskim w Warszawie

no, a przedświadek oświecił ją fałszywie, jak złe ustawiony reflektor.

Przysłuchiwałem się kilku dyskusjom, czytałem głosy publiczności. Zaatakowano w nich przede wszystkim atmosferę moralną. Sąd, dokonany przez autora, acz wyraźny, wydał się wielu za łagodny. Słuchając i czytając — przyznam — czułem się trochę nieswojo. Rzadko zdarzało mi się przebywać w atmosferze podobnego rygoryzmu. Rzekłbym, że najsurowsi moralisci średniowiecza, nie przebacający najbliższemu potknięcia, albo co najmniej sam Kant — przemawia przez sympatyczne i łagodne usta nieraz dobrych znajomych. Kamienie solidarnie rzucał na Jerzego i Marię niewątpliwie budzą zastanowienie. Napisałem, że autor nie potrafił zrównoważyć racji Jerzego i Marii w przeciwstawieniu do racji Jana, ale trudno przyznać, aby takich racji wcale nie było w sztuce. Sędziowie zdawali się ich nie dostrzegać, postacie budziły odrazę, przy czym nie najmniejszą rolę odgrywał fakt, że Jerzy żyje z cudzą żoną, a Maria kocha innego, chociaż maż jej siedzi w obozie. A bądź co bądź mamy prawo wnosić z usłyszanego ze sceny tekstu, że Maria nie była z Janem szczęśliwa, że przy Jerzym trzymając ją przede wszystkim motywy uczuciowe, że Maria w życiu Jerzego to wielka miłość a nie zwykła sobie przygoda itd. itd. Można się chyba nad tym przynajmniej zastanowić. I Jan budził zastrzeżenia. Nie podobało się, że jest jakiś mazgajowaty, że nie przepędził gacha z domu, gorzej, że pozostawił niewiernej żonie dziecko, godząc się, żeby wzrastało w „atmosferze zginiłiny”. Aż krytyk katolicki musiał go bronić, przypominając, że Jan przecież nie wierzy w Boga, nie uznaje sakramentów, a w związku z ukochaną ma wedle niego decydować miłość i wolny wybór; skoro ten został dokonany, cóż mu pozostaje? Odejść. Siedzący koło mnie widzi, rozumiał to także doskonale, dziwił się tylko trochę, że w dzisiejszych czasach ktoś odchodząc zostawia bez słowa tak porządnie umeblowane mieszkanie.

Największym powodzeniem cieszą się Bronisłówna i Zelwerowicz, kreując postacie (Franciszka i ksiądz), co do których sąd publiczności i autora wypadł podobnie: bez zastrzeżeń.

Niewątpliwie wypowiedzi publiczności i krytyki wobec sztuki Hołuj powinny wzbudzić zainteresowanie socjologów. Występuje w nich wyraźna tendencja do uproszczenia, do tego, żeby — mówiąc słowami Aloiza — rachunek się zgadzał.

Aloiz — handlarz podobozowy, kupujący od SS-manów ciuchy czy złoto, nie jest spiegiem; nawet w czasie rewizji, wiedząc prawie wszystko, domu Franciszki nie zasypał. Dlaczego? Dziwi się nie tylko łączniczka Marta. „Zaraz, zaraz, żeby się wam rachunek zgadzał, co? Aloiz pijak Aloiz handluje ludźmi z lagru — to znaczy Aloiz jest łotr. A ja nie! filozofii was ucę moi kochani”. Nie zasypał pewnie trochę z przyjaźni do gospodyni, a na pewno z miłości do Marty. I będzie „filozofował” dalej o miłości. „Ja — ciebie. Znowu ci się rachuba nie zgadza, co? Czy ja to nie wiem jak jest z tobą? Ty się poświęcasz, nie? Spalaś z tym czarnym SS-owcem, ale to z poświęcenia”. „...mnie się nie wolno poświęcać z miłości dla ciebie, a tobie wolno kochać się z poświęcenia?”. Ta scena z trzeciego aktu jest zresztą może najlepiej najgłębiej pomyślanym fragmentem sztuki. A w ogóle rzeczy dobrze pomyślane jest tu nie mało. Niestety prawie wszystko nie dociągnięte, nie rozwinięte. Razi niektórych cały wątek Aloiza i Marty, jako tor boczny, rozbijający całość nieważny. Myślę, że niesłusznie.

Aloiz, Marta i Ambasador — był to zapewne trójkąt pomyślany jako wariacja tematu: Jerzy — Maria — Jan. Oparty o inne środo-



„Dom pod Oświęcimiem”: Wyrzykowski, Bronisłówna, Kreczmar

wisko, świadomie inaczej rozwiązany, miał stanowić artystyczne dopełnienie głównej sprawy. Zamysł ten jednak należało chyba rozwinąć, dać rzeczy choćby jakieś echo w akcie ostatnim, gdzie rozstrzyga się moralny konflikt sztuki. Inaczej — trudno, aby intencja zosłała powszechnie dostrzeżona.

Sztuka rozłamuje się wyraźnie. Pierwsze trzy akty biegną jak żywe sceniczne sprawozdanie z dość sensacyjnych wydarzeń, łączących dom pod Oświęcimiem i spokojne mieszkanie w Krakowie. Jakaś teatralna trafność w stawianiu postaci i sytuacji, kreślonych z łatwością doświadczonych dostawcy teatralnego — przekonywa, że utwór nie jest na scenie nieporozumieniem.

Akt czwarty natomiast wprowadza ton zupełnie inny. Odpowiedzialność — winą — sumienie. Czujemy jakby tu się dopiero sprawa zaczynała, jakby wszystko dotychczas było jedynie prologiem. Można by z aktu tego zbudować właściwie oddzielną sztukę, bo i tak, o wszystkim co zaszło przedtem, opowie się tu raz jeszcze. Taka dwudzielna kompozycja mogłaby może nadać specjalny wyraz dziełu, gdyby końcowy rozdział nie gmatwał się kilkakrotnie, gdyby akt ostatni, wkraczając na teren poważniejszego gatunku literackiego, miał mocną wewnętrzną strukturę.

Mówiąc nawiasem — jest to partia sztuki najslabiej ułożona pod względem technicznym. Rozwiązanie trudności sytuacyjnych musiało być prawdziwą łamiętką dla teatru, który przez swój sumienny wkład, wspólnie z organizatorami opinii publicznej, ponosi odpowiedzialność za to, że przedstawienie nie zupełnie dojrzałego utworu utalentowanego pisarza urosło do wymiarów zdarzenia.

STRZAŁY NA ULICY DŁUGIEJ

W przeszłość okupacyjną wprowadza nas także sztuka Świrszczyńskiej wystawiona z kolei na najmniejszej scenie warszawskiej.

Tu także maż — w obozie, żona pozostawiona samotnie kelnieruje w Warszawie. Zwodziona przez macherów, którzy obiecują jej wydobyć męża, gromadzi pieniądze na ten cel sposobem byle jakim... Stacza się coraz niżej. Problemat prawie jak u Marty Hołuj: Lola sprzedaje miłość — z poświęcenia.

Rozwiązanie tragiczne następuje już w pierwszym obrazie. Maż nie żyje od trzech lat, ofiara była nie potrzebna, a życie zmarnowane. Naturalne wyciągnięcie ręki po truciznę. Wtem gość niespodziewany, konspirator, działacz, który uciekł z obojowego transportu, wpadł przypadkowo do mieszkania, aby tu przeżyć niebezpieczeństwo. Obecność jego wywołuje wstrząs w psychice nieścisłej kobiety. Lola postanawia podnieść się, ozdrowieć, poświęcić się walce. Ale strzęp człowieka zdolny jest już tylko do bohaterstwa śmierci. Osiadając odwrót nieznajomego prawdopodobnie ginie w walce z Gestapo. Prawdopodobnie, gdyż autorka zaoszczędziła nam rozstrzygającego wystrzału. Podczas gwałtownego dobijania się do drzwi, spada kurtyna, czym publiczność zdaje się być zawiedziona. Trudno odmówić sobie przyjemności i nie podkreślić w sprawozdaniu, że w sztuce wszystkie postacie pozytywne to abstynenci, a negatywne oddają się alkoholizmowi. Poprawa Loli rozpoczyna się także od pogardy dla kieliszka.

Autorka nie ma wątpliwości moralnych, postawiła wszystko jasno, to też rzecz podobna się na ogół recenzentom. Za to do dyskusji materiału chyba nie będzie wiele.

Tu znowu akt pierwszy — stanowi jakby oddzielną całość. Posiada własny sens dramatyczny i pewne napięcie zwłaszcza, że postać Loli (p. Martini) wypadła przekonywująco. Ale na tym właściwie koniec. Dwa obrazy dalsze — to już tylko rozmowy szlachetnego z poprawioną, prowadzące do wiadomego zakończenia.

Skromna rama teatryku na Marszałkowskiej szczęśliwie umowała wątku sztuki, która tylko dlatego nie wypadła pretensjonalnie.

LISIE GNAZDO

W miejsca i czasy odległe przenosi nas natomiast dramat Lillian Hellman. Rzecz rozgrywa się w Ameryce a rzucona jest na tło przemian socjalnych, których ostatnie fazy miały prawdopodobnie jakieś pięćdziesiąt lat temu. Przecistawiono tu reprezentantem dawnej arystokracji plantatorskiej — pionierów industrializacji. Pierwsi — to niewypracowany pieniądź, wielkopańska pogarda dla interesów, zamknięcia artystyczne, poezja wiejskiej fermi i patriarchalne serdeczny stosunek do czarnego niewolnika, drudzy — to komy fabryczne na miejscu dawnych lasów, pasja zdobywania pieniądza, lekceważenie dla pieknotuchów, świat bez skrupułów i ołgady. Przeciw dawnej kulturze ziemiankiej stowarzyszony cały klan — Hubbardów. Oczywiście przyszłość należy do nich. Po stronie Horacego Giddensa — stoi tylko murzyńska służba i związana całym sentymentem z przeszłością narkomanka Birdie, daleka kuzynka. Konflikt nie rozwija się na płaszczyźnie programów i poglądów. Nienawiść między Horacym a żoną, wcielającą elementarne siły Hubbardów — to nienawiść różnych postaw życiowych, różnych obyczajowych struktur, różnych moralności. To obce sobie klimaty.

Autorka sympatią otacza świat odchodzący i wierzy w odrodzenie się jego siły w nowym pokoleniu, w młodziutkiej córce Horacego. Sztuka efektowna i teatralnie napisana, powinna — mimo jak się wydaje zupełnej nieaktualności i odległego środowiska — łatwo być zrozumiana w kraju, którego literatura znała dobrze podobne konflikty i podobnie rozkładała akcenty sympatii.

Teatr rzecz całą zmarnował.

Utwór niewątpliwie historyczny potraktował współcześnie w prymitywny sposób, chcąc zademonstrować „gryzącą satyrę”. Oczywiście udało się. Na scenie występuje kilku niesympatycznych Amerykanów, którzy się w dodatku po amerykańsku chębiają i parzących murzynów — więc rzecz jest aktualna.

Jest to ten sam prymitywizm, który przed dwoma laty dopatrywał się nut aktualnych w komedii Korzeniowskiego, gdzie wyszydza się zbankrutowanych arystokratów, a gloryfikuje przedsiębiorczego, pracowitego, umięjącego wycisnąć z ziemi — a pewnie i ze swoich parobków — wszystko co się tylko da wycisnąć, ziemianina. Przedstawienia odbywały się świeżo po reformie rolnej, Warszawa była terenem zjazdów chłopskich — inteligentna młodzież ludowa napewno nieraz odwieżdżała widownie! Właściwego sensu komedii mimo to nikt nie podkreślił. Ale rzecz grano w kostiumach i przynajmniej teatr nie próbował w nas wmawiać, że to problematyka chwili obecnej.

W teatrze „Studio” nie głęboki, ale zrzęcznie zbudowany produkt amerykański wykoślawiono i zmarnowano zupełnie. Trudno się nawet dziwić recenzentowi, nie znającemu sztuki z czytania, że, nie rozumiałyśmy utworu, za nonsensy teatru uczynił odpowiedzialną autorkę.

Rzecz bowiem była grana nad wyraz słabo. Po za jaśniejszą sceną Łabuńską w trzecim akcie i farsowo, ale sympatycznie podającym tekst młodego Hubbarda Fidlerem, działał jedynie, jak zawsze, nieprzeciętną osobowością własną Adwentowicz. Centralna postać Reginy — nie istniała. Mimo, iż było to pod względem teatralnym jedno z najslabiej przygotowanych przedstawień warszawskich, prasa codzienna przyjęła je przychylnie. Jeszcze jeden dowód jak pozbawieni jesteśmy w tej chwili wszelkich miar i kryteriów i jak bezzadni wobec niewątpliwego upadku teatralnej kultury.

Jerzy Kreczmar



„Lisie Gniazdo” Hellmana Elżbieta Łabuńska w roli pani Birdie

STANISŁAW EHRLICH

Książka o Nietzschem

WYDAJE SIĘ wprost niezrozumiałym, dlaczego tak mało ukazuje się u nas publikacji, poświęconych zagadnieniom faszyzmu i jego ideologicznego rodowodu. Zainteresowania problematyką faszyzmu winna pobudzać nie tylko niedostępność przedwojennej literatury lecz również jej niedostateczność, a jeszcze częściej, fałszywość jej założeń, nie mówiąc o tym, że przeciwwagi wymaga obfita literatura sympatyzująca z faszyzmem, która przez lata wsiąkała w umysły. Sam upływ czasu na pewno jej nie wytrawił.

Podczas, gdy zarówno w Stanach Zjednoczonych i w Anglii, a przede wszystkim w Związku Radzieckim z roku na rok rosną pozycje bibliograficzne, poświęcone tematowi faszyzmu, u nas pod tym względem panuje dosyć niepokojąca cisza. Nawet ruchliwy Instytut Zachodni nie udziela tym zagadnieniom dostatecznej uwagi.

A jednak, niepokojące zjawisko faszyzmu wymaga całkowitego wyświeślenia, jeżeli chcemy ogarnąć współczesną problematykę polityczną i społeczną, a w szczególności mieć jasne spojrzenie na Niemcy. Trzeba sobie dokładnie zdać sprawę z tego, co faszyzm zawdzięcza antysemityzmowi Herdera, ubóstwieniu państwa pruskiego przez Hegla, koncepcjom samowystarczalnym (autarkicznym) Johanna Gottlieba Fichtego („Der geschlossene Handelsstaat”), rasizmowi Gobineau i Houstona Stewarda Chamberlaina („Grundzüge des XIX Jahrhunderts”) — tego zniemczonoego syna angielskiego admirała, którego urzekła mistyka germańskiej czystości rasowej, wreszcie cynizmowi politycznemu pruskich Fryderyków.

Osobliwie jednak trzeba sobie uświadamiać, jak wiele ideologowie faszyzmu zaczerpnęli z dzieł Fryderyka Nietzschem. Nikt inny, jak sam Adolf Hitler pasował Nietzschemo na prekursora narodowego socjalizmu. Nie było w tym żadnego fałszerstwa. Cała twórczość Nietzschemo i rzeczywisty wpływ jaki wywarł na ideologów niemieckiej formy faszyzmu czynili zeń niewątpliwie duchowego ojca narodowego socjalizmu.

Na tym polega właśnie znaczenie książki prof. Stefana Rozmaryna („U źródeł faszyzmu, Fryderyk Nietzsche”), że autor zdecydowanie odrzuca nie tylko okulary Brzozowskiego i Berenta, przez które przyzwyczaili się patrzeć na Nietzschemo polski inteligent, ale, że rozwiewa te złudzenia, które pokutują jeszcze i na Zachodzie (Tomasz Mann) i na Wschodzie (w Związku Radzieckim — Zaslowski). Prof. Rozmaryn kwestionuje bowiem, jakoby poglądy Nietzschemo nie były pomyślane jako ideał społeczny, lecz obracając się „w sferze obrazów wyłącznie estetycznych, metafor itp.” (str. 10). „Nadzieńwiak nie jest bynajmniej pomyślany tylko, jako fantazja artystyczna, lecz był dla Nietzschemo wcieleniem ideału społeczno — państwowego, który chciałby przetrwać w rzeczywistości” (str. 62). I to jest podstawowa teza książki.

W świetle rozważań Rozmaryna nie da się już obronić Nietzschemo — estety przed Nietzschemo pisarzem politycznym i społecznym, nie da się Nietzschemo odgrodzić od faszyzmu.

Autor prowadzi nas przez stronicę znajomych książek Nietzschemo, których dziś — po doświadczeniu faszyzmu — nie sposób czytać tak samo, jak niegdyś. Formalne walory książek Nietzschemo przesłaniały nam wówczas treść — dziś treść nas odpycha i przesłania artyzm słowa, który nas niegdyś urzekał.

Niektóre cytaty odczytuje się po wielokroć. Jest niepojęte jak mogły uciec naszej uwagi, jak mogliśmy w nich nie wyczytać złowroźnej treści?

„Ten, po czyjej stronie jest siła, nie dba o kulturę”.

„Wojna jest państwu tak samo konieczna, jak niewolnik społeczeństwu”.

„...dobra wojna uświęca wszelką sprawę”.

„Moim punktem wyjściowym jest pruski żołnierz”.

Słowa te wyjęte są z książek Nietzschemo, lecz równie dobrze mogły paść na wietrze narodowo — socjalistycznych szturmów z ust Hitlera lub Goeringa. Rozmaryn może zbyt obficie operuje cytatai. Metoda ta ma jednak tę zaletę, że pozwala przeprowadzić niezbyt dowód prawdy bez emocjonalnych wtrętów, które by jej tylko mogły zaszkodzić. Metoda ta czyni z książki o Nietzschemo niezwykle przekonujący akt oskarżenia, w którym cytaty przemawiają, jak uryki do kumentów, powołanych z akt śledztwa. Książka o Nietzschemo wykrywa więc łączącą wypowiedzi pisarza — które dawniej zbyt lekkomyślnie pożytywałam za poetyckie metafory bez politycznego i społecznego pokrycia — z otaczającą go rzeczywistością. I oto kapryśny poeta staje przed nami, jako konsekwentny w swojej nienawiści do ludu, piewca nowoczesnego niewolnictwa, bard napaści wojny, herold nowego barbarzyństwa. Pozorna głębia odsłania apoteozę sadyzmu i optymizmu okrucieństwa. Maskę estety

ty ścina grymas nienawiści. Logiczną konsekwencją tej obłądnej filozofii nienawiści i okrucieństwa był właśnie obłąd. Mniej natomiast logiczne było zachowanie się przyjaciół i wielbicieli Nietzschemo, którzy w ciągu lat dziesięciu pozwalali swojemu mistrzowi — jak pisze ironicznie R. d'O. Butler („The roots of national socialism”) — wegetować jako umysłowo choremu. Przecież to Nietzsche nauczał: „Chory człowiek jest pasożytem społeczeństwa. W pewnych przypadkach przedłużanie życia jest nieprzyzwoistością. Wegetowanie w stanie tchórzliwej zależności od lekarzy, gdy straciło się sens życia i prawo do życia zasługuje na wzgardę społeczeństwa...”.

Nie można już dłużej mieć wątpliwości. Z królestwa Nadzieńwiaka, estety Nietzschemo wiedzie prosta droga do obozów wyniszczania Henryka Himmlera.

Stanisław Ehrlich

K O R E S P O N D E N C J A

W sprawie państwa Izrael

Tragiczne losy utworzonego po dwóch tysiącach lat państwa żydowskiego Izrael składają mi do skreślenia kilku słów, które prawdopodobnie wyrażają opinię polskich intelektualistów.

Państwo Izrael powstało z woli moralnej i z walki orężnej dziesiątków tysięcy ludzi, którzy przybyli do Palestyny dla budowy demokratycznego państwa żydowskiego, gotowi uznać prawa narodowościowe ludności arabskiej, zamieszkającej od setek lat na terenie tego kraju. Zamiast współpracy na terenie Palestyny mamy dziś wojnę.

Wojna ta jest fragmentem walki między siłami demokratycznymi i imperializmem, który gestem Piłata wycofuje angielskie siły zbrojne z Palestyny, pociągając za sobą oficerów brytyjskich na czele trzech armii, nacierających z południa, wschodu i północy na młode, demokratyczne państwo Izrael.

Intelektualiści polscy niejednokrotnie występowali przeciwko niesprawiedliwości i przemocy, które nie ustają po drugiej wojnie światowej, mimo, iż wierzyliśmy wszyscy, że pokonanie hitlerizmu i faszyzmu położy kres panowaniu siły i obłądki w stosunkach między ludźmi i narodami. Młode państwo żydowskie ogłosiło zasady, którymi będzie się kierował tymczasowy rząd żydowski na terenie Palestyny. W odezwie tej nie ma ani jednego punktu, który by nie był bliski tym, których zadaniem jest walka o międzynarodową sprawiedliwość, o swobodę i tolerancję, będących podstawami rozwoju myśli i kultury.

Nikt lepiej niż pisarze i intelektualiści polscy nie może rozumieć dramatu palestyńskiego. Dlatego też jest rzeczą ważną, by pisarze i intelektualiści polscy wyrazili swoją solidarność z walką obronną, jaką toczy demokracja na terenie Palestyny z przeważającymi siłami imperialistycznymi. Gdy składamy protesty wobec aktów przemocy popełnianych na demokratów i rewolucjonistów greckich, gdy nie jest nam obojętna walka demokratów hiszpańskich z faszystowskim rządem generała Franco, gdy z niepokojem śledzimy ofensywę na demokratyczne i rewolucyjne ośrodki francuskiego życia politycznego, nie możemy przemilczeć sprawy palestyńskiej.

Rzeczą pisarzy i intelektualistów jest obrona swobody i demokracji przeciwko przeważającym siłom wsteczności i tyranii. Mój głos jest pojedynczy i wyraża w tej chwili tylko mój własny pogląd na tę tragiczną sprawę. Nie wątpię, że polskie organizacje intelektualistów określa swój stosunek do sprawy wojny imperialistycznej, która toczy się na terenie Palestyny, tak samo jak określały swój stosunek do pogromu kieleckiego, do mordów popełnianych na demokratach i rewolucjonistach hiszpańskich i greckich. Proszę więc, by moje indywidualne oświadczenie było traktowane jedynie jako głos człowieka niecierpliwego, ale nie samotnego.

Łódź, 18 maja 1948 r.

Paweł Hertz

Redaktorzy „Warszawy” i „Ekranu Tygodnia” oskarżeni o zniesławienie

Szanowny Obywatelu Redaktorze! Uprzejmie proszę o podanie do publicznej wiadomości w swoim poczynnym piśmie, że w związku z rozpowszechnieniem przez czasopismo „Warszawa” (Nr 2/23, z 1 lutego rb.) i dodatek świąteczny „Ekrany Tygodnia” do dzienników „Wrocławski Kurier Ilustrowany” i „Częstochowski Kurier Ilustrowany” (23 lutego rb.) zniesławiających mnie zarzutów, wnoszę oskarżenie przeciw redaktorom tych pism: ob. Janowi Szczawiejowi i ob. Bronisławowi Winnickiemu.

Proszę Przyjąć wyrazy poważania

Leon Schiller

Państwowy Teatr Wojska Polskiego

Łódź, dnia 7 maja 1948 r.

Opuszczone nazwiska tłumaczy

Państwowy Instytut Wydawniczy uprzejmie prosi o zamieszczenie w numerze „Kuznicy” następującego oświadczenia:

„W wydanej przez Państwowy Instytut Wydawniczy książce Dickensa „Klub Pickwicka” opuszczone nazwiska tłumaczy. Przekładu dokonał Włodzimierz Górski, zaś uzupełnił Zofia i Wiktor Popławscy pod redakcją Wilama Horzycey”.

Dyrektor Działu Wydawniczego

Dr Józef Zaremba

Echa paryskiego kongresu historyków

Z okazji tak uroczystej obchodzonej w całym świecie demokratycznym setnej rocznicy Wiosny Ludów odbył się w początkach kwietnia rb. w Paryżu — zwołany z inicjatywy grona historyków francuskich — pierwszy po wojnie międzynarodowy kongres historyków, w którym wzięła udział reprezentacja Polski. Delegację naszą stanowili cztery osoby, mianowicie: prof. Natalia Gąsiorowska, przewodnicząca Ogólnopolskiego Komitetu Obchodu „Wiosny Ludów”, prof. Jan Dąbrowski, reprezentujący Polskie Towarzystwo Historyczne oraz Polską Akademię Umiejętności, prof. Uniwersytetu Warszawskiego Stefan Kleniewicz, autor prac oryginalnych o Wiosnie Ludów, które w najbliższym czasie ukażą się nakładem Polskich Zakładów Wydawnictw Szkolnych oraz docent Uniwersytetu Warszawskiego i dyrektor departamentu w Ministerstwie Oświaty Zanna Kormanowa, z którą współpracownik „Kuznicy” przeprowadził dłuższą rozmowę na

temat przebiegu kongresu oraz wkładu naszej delegacji do jego prac.

Kongres — oświadczyła na wstępie p. Kormanowa — został przez francuskich gospodarzy nader starannie przygotowany. Na długo przed jego otwarciem podjęły prace autonomiczne grupy badaczy rewolucji 48 roku i zespoły wydawców, przygotowując szereg ciekawych i wartościowych publikacji.

Wymienić tu wypada przede wszystkim piękny album poświęcony rewolucji 1848 roku, wydany przez sędziwego profesora Georges Bourgin, dyrektora Archiwum Narodowego. Opracowany jest ze znanstwem przedmiotu i wielką starannością, na bardzo wysokim poziomie graficznym i skupia dosłownie cały materiał ilustracyjny, dotyczący przebiegu rewolucji we Francji i jej odgłosów na całym świecie. Liczne karykatury polityczne, fotografie dokumentów, reprodukcje obrazów, portrety, szereg charakterystycznych dla rewolucji lutowej realiów wraz z przejrzystym, świetnie zredagowanym komentarzem, pozwalają użytkownikom albumu, jako znakomitą pomoc do popularyzacji idei, ludzi i zdarzeń 1848 roku. Dla nas, Polaków, szczególnie ciekawe są dwie reprodukcje: nieznany zupełnie w Polsce portret Mickiewicza — rysunek Eugeniusza Delacroix oraz egzemplarz książki Michelet i Quinet, dedykowany przez autorów Mickiewiczowi.

Wśród wydawnictw książkowych wymienić trzeba przede wszystkim dwanaście popularnie napisanych broszurek, wydanych z francuskim smakiem, w których najlepsze pióra historyków francuskich omawiają kolejno etapy rewolucji i jej głównych działaczy. Specjalne książeczki zostały poświęcone Aleksandrowi Ledru-Rollin, Eugeniuszowi Sue, Piotrowi Proudhon, Ludwikowi Blanc i Adolfovi Blanqui. W osobnym tomiku omówione jest stanowisko Karola Marksa jako jednego z ideologów i historyków rewolucji 1848 roku.

Sród autorów tej serii publikacji popularno-naukowych spotykamy nazwiska: Jean Cas sou, Auguste Cornu, Jean Bruhat i E. Tersin. Dwa ostatni — warto przypomnieć — byli niedawnymi gośćmi w Warszawie i pobyt swój wspominają entuzjastycznie, urzeczni porównując tempem narodzin nowego świata, któremu przyrzekli się z bliska.

Jeżeli pozwolimy sobie — dodała nasza rozmówczyni — nieco obszerniej przedstawić tę sprawę, to po to aby zwrócić uwagę polskich wydawców, gdyż niektóre z tych publikacji całkowicie zasługują na przekład i szerokie rozpowszechnienie.

Z kolei zapytałam o ludzi.

Zacznijmy od gospodarzy. W tej bardzo licznej i poważnej drużynie francuskiej obok wspomnianego już prof. Bourgin na wymienienie zasługuje przede wszystkim nester historyków francuskich Georges Lefebvre, pełen żywotności mimo wiek podeszły, następnie Ch. Renouvin oraz, z młodszego pokolenia — Charles Moraze, autor głębokiego referatu o zagadnieniach metodologicznych historii nowożytnej, i Labrousse, profesor historii społeczno — gospodarczej, który w dniu zamknięcia kongresu wygłosił z rzadko u uczonych spotykaną swadą błyskotliwy i pełen erudyty wykład o tym, jak powstają rewolucje, oparty na analizie rewolucji 1848, 1830 i 1789 roku”.

Pod względem narodowościowym na kongresie reprezentowane były przede wszystkim kraje europejskie, a więc sąsiedzi Francji: Włochy, Belgia, Holandia, Szwajcaria i Anglia, z państw słowiańskich: Czechosłowacja i Polska. Nadto Węgry oraz kraje skandynawskie. Znaczący należy udział reprezentantów austriackich historyków — naukowców — po raz pierwszy po wojnie. Z państw pozaeuropejskich przybyli przedstawiciele nauki historycznej w Stanach Zjednoczonych.

Wkład polski do prac kongresu wyraził się w postaci referatów prof. prof. Gąsiorowskiej i Kleniewicza, które znalazły żywy odzew na sali i wywołały dyskusję.

Pracowały tydzień kongresu, którego obrady odbywały się w tak dobrze znanych i tak pamiętnych europejskim intelektualistom audytoriach Sorbony, minął na wysłuchaniu długiego szeregu referatów i uczestnictwie w również długim szeregu przyjęć.

Delegacja nasza cieszyła się ze strony organizatorów kongresu specjalnymi względami. Kiedy z kolei delegacja nasza złożyła w pożegnalnym przemówieniu deklarację nauki polskiej, która dąży i dążyć będzie do poznania prawdy w interesie ludu polskiego i w obronie pokoju i sprawiedliwości społecznej, gospodarz, prof. Lefebvre z niekłamną serdecznością dał wyraz gorącym sympatiom całej żywej Francji nie tylko dla bohaterów tradycji patriotycznych Polski, ale i dla nowej Polski, dźwigającej na ruinach Warszawy fundamenty lepszego i sprawiedliwszego ustroju.

I gdy obok tego poważnego polskiego głosu wypadło wysłuchać przemówienia Anglika, który z całym cynizmem oświadczył, że historycy angielscy z przyjemnością wyjeżdżają do innych krajów, by studiować tradycje ich rewolucji, dumni z tego, że we własnej historii po XVII stuleciu tych tradycji akumulować nie muszą — można było z reakcją na sali bankietowej wynioskować, że w tej biesiadzie naukowej biorą udział dwa światy: świat stary, bogaty w doświadczenie, ale pozbawiony idei, znużony i obojętny, i świat nowy, budujący nowe życie z wysiłkiem i kosztem niemałych wyrzeczeń, ale z wiarą i optymizmem.

G. K.

*) Wyd. Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego, 1947, str. 84.

Tadeusz Radwański
Warszawa ul. Młodz. Jugosłow. 13 m. 7

Głos niemieckiego demokraty

Od pewnego czołowego młodego działacza i przywódcy organizacji antyfaszystowskiej młodzieży niemieckiej we wschodniej strefie Niemiec „Freie Deutsche Jugend“ przyszedł niedawno do jednego z pisarzy lewicowych interesujący list. Działacz ów, były uczestnik podziemnej walki z hitleryzmem, jeden z tych, na których, jak należało by sądzić, można liczyć w próbach budowania nowych Niemiec, porusza sprawę dróg, za pomocą których „demokratyczne siły niemieckie mogłyby walczyć czynnie o pozyskanie na nowo utraconej przyjaźni narodów“. Jedną z tych dróg upatruje on w czynnym, dobrowolnym udziale demokratycznej młodzieży niemieckiej z radzieckiej strefy Niemiec w odbudowie państw zniszczonych przez hitlerowskie Niemcy. Często dające się w Polsce słyszeć żądanie, aby niemieckie ręce usuwały zniszczenia, jakich ofiarą padł nasz kraj, miałyby według koncepcji niemieckich antyfaszystów zostać spełnione, ale w formie nieco innej, niż wyobrażano sobie u nas. Udział Niemców w usuwaniu gruzów naszych miast miałby stać się nie karą, ale rodzajem wyróżnienia, obowiązku dobrowolnie podjętego przez najbardziej uświadomionych, najwyższej ideowo stojących przodowników młodzieży niemieckiej.

Czołowa organizacja antyfaszystowskiej młodzieży we wschodniej strefie Niemiec, Freie Deutsche Jugend, wzięłaby na siebie według tego projektu pełną odpowiedzialność za przysłanie do nas ekipy swych członków, których praca byłaby nie tylko próbą ekspiacji ale także kamieniem węgielnym w odbudowie gmachu zaufania i wiary w powstanie nowych Niemiec, innych niż dotychczasowe.

Niewątpliwie w propozycji tej kryje się wiele optymizmu — jeśli by wierzyć dochodzącym do Polski informacjom na temat stanu obecnego Niemiec — optymizmu nieco na wyrost. Występujący z taką propozycją nie bardzo być może zdaje sobie sprawę, jak trudną do wyrównania jest przepaść, którą stworzył między nami a narodem niemieckim nie tylko hitleryzm ale i długie poprzednie lata nacjonalistycznej polityki niemieckiej. Niemniej głos ten godny jest zanotowania i — być może — dyskusji. Wspomniany działacz powołuje się na to, że Centralna Rada Organizacji młodzieży jugosłowiańskiej obdarzyła już młodzież niemiecką tym pierwszym aktem zaufania, zapraszając grupę stu przedstawicieli tej młodzieży do pracy nad odbudową Jugosławii.

„Jak ocenia pan sytuację? — pisze autor listu do polskiego pisarza — czy byłoby już rzeczą na czasie, aby Centralna Rada „Freie Deutsche Jugend“ zwróciła się do polskich organizacji młodzieży z prośbą o zezwolenie, by pewna ilość wypróbowanej, demokratycznej młodzieży przez pewien czas wzięła udział w odbudowie demokratycznej Polski?“ (...Ware es schon an der Zeit, dass der Zentralrat der F. D. J. an die polnischen Jugendorganisationen herantreten kann, mit der Bitte, einer Anzahl demokratisch bewährter Jugendlicher aus Deutschland zu gestatten für eine Zeit am Wiederaufbau der demokratischen Volksrepublik Polen teilzunehmen?).

Sądzi, że warto, aby w sprawie tej zabrali głos organizacje młodzieży.

ent.

Ilu ludzi stracono w Grecji?

Od lipca 1946 r. do marca 1947 r., to znaczy do momentu załamania się supremacji angielskiej, stracono w Grecji 124 osoby, czyli przeciętnie zabijano z wyroków sądowych 15 osób miesięcznie. Od kwietnia 1948 r., to

znaczy od narzucenia interwencji amerykańskiej do chwili niemal obecnej, stracono z kolei 763 Greków, co daje przerażającą liczbę 61 osób zabijanych przez sądy polityczne w ciągu jednego miesiąca.

Te smutne liczby podajemy za paryską „Action“, numer z 5—11 bm.

cyr.

Oficjalna spółka

Amerykański „Counter Intelligence Corps Reporter“ („Dziennik przeciwspiesgowski“), organ zrzeszenia byłych agentów państwowej policji tajnej, ogłasza, że powstało wielkie biuro detektywów, wyspecjalizowanych w „polowaniu na czerwonych“. Biuro to pod

firma „Information Incorporated“ ma swa siedzibę w Waszyngtonie, posiada w tej chwili 473 wywiadowców i sprzedaje każdemu, kto tego zażąda poufne informacje w cenie 2—10 dolarów za wiersz maszynopisu.

Szef biura niejaki pan Bartley, oświadczył wobec prasy że dostrzega w Stanach Zjednoczonych „szerokie pole działalności wyrotowej, która się stała nietykalną“, przeto zapowiedział, że jego agenci będą mogli nieba-

wem poświęcić się szeroko zakrojonym badaniom nad nastrojami ludności Stanów Zjednoczonych.

cyr.

Biblia i metodologia

Zabawne są wysiłki pewnych przedstawicieli świata katolickiego w kierunku zrównania teologii z nauką. Oto w „Dziś i jutro“ objawia nam ktoś, że wprawdzie teologia jest wiara, ale marksizm jest nią w równie mierze. A oto wyczerpująco i bardziej karłowaty. Ks. Kisiel wyjaśnia (Przegląd Powszechny, nr 4, „Rozmowa z niewierzącym“), że wiara katolicka jest równie empirycznie sprawdzalna i czyniąca zadość wymogom metodologii, jak każda nauka. Znamienne jest tu esotawanie okruciami pozytywistycznej terminologii dla uzyskania wrażenia, jakoby istotnie coś z sensem miało być tam głoszone. Posłuchajmy:

„Podstawą naukową, na której opieramy wszystkie tezy teologii jako nauki o prawdach objawionych jest osobista wiedza i osobiste doświadczenie Jezusa Chrystusa, które on nam zakomunikował w sposób jak najbardziej autorytatywny i metodologicznie poprawny. Niczego więc nie zmyślamy uprawiając teologię i głosząc kazania, o ile rozwijamy wiedzę Jezusa Chrystusa tak jak inni ludzie np. wiedzę Marksa“.

PRZEGŁĄD PRASY

Słusznie pisze mój kolega — sprawozdawca „Nowin Literackich“ w swojej kronice prasowej w nr. 21. „Nie udźmy się. Literaturę w Polsce „robi“, „Przekrój“, a nie „Twórczość“, „Kuźnica“ czy „Nowiny Literackie“, „Express Wieczorny“ lub „Wieczór“ mają w praktyce o wiele większe możliwości popularyzacyjne niż „Odrodzenie“ lub „Odra“. Sprawozdawca „Nowin“ ma niestety rację.

Sprawa nie przedstawiała by się tak tragicznie, gdyby pisma codzienne w swoich dodatkach tygodniowych traktowały sprawy kultury, tak jak należy, to znaczy, gdyby pomogły pismom literackim w ich nielutym zadaniu. Trudność zadania pism literackich w Polsce w roku 1948 polega przede wszystkim na tym, że dawny krąg czytelników niewątpliwie się powiększył. Czytelnicy nasi nie rekrutują się dziś wyłącznie z mieszczańskiej inteligencji czy snobistycznego odłamu kupców i przemysłowców, jak to niewątpliwie miało miejsce do roku 1939. Natomiast pisarze zabierający głos w pismach literackich są przeważnie wychowani i wykształceni w tym właśnie okresie historycznym, gdy kultura była ograniczona do jednej tylko warstwy ludności. Nasza mowa jest mową inteligentów i na to nie poradzi kampania w sprawie wyrazów obcych. Trzyletni okres demokracji ludowej nie mógł jeszcze wykształcić i nie wykształcił nowego czytelnika. Nowy czytelnik nie pojawi się wtedy, gdy nasze książki ograniczą się do tematyki i słownictwa dla niego zrozumiałych. Nowy czytelnik może się pojawić jedynie w wyniku długotrwałej i uporczywej walki o oświatę w Polsce. Nikt z mieszczańskich synów, którzy w szesnastym roku życia recytowali Rimbauda i Apollinair'a, nie urodził się ze skłonnością do dobrej literatury i nikt z młokiem matki nie wysłał artystycznych gustów. Niewątpliwie wysoki poziom literatury konsumowanej przez mieszczaństwo — myślę tu o najlepszej jego części — był wynikiem długotrwałego procesu cywilizacyjnego. W pewnej chwili ilość wiadomości i gustów przemieniła się w jakość kultury.

Pretensje wysuwane pod adresem literatury, i nie tylko literatury, bo mowa w tej chwili już i o malarstwie i muzyce, powinny być przede wszystkim skierowane pod adresem tych czynników, które bezpośrednio oddziałują na szerokie masy czytelnice. Dodatek do pism codziennych powinny być czymś w rodzaju przewodnika po trudnym i nieznanym dla większości świeckiej kultury. „Przekrój“ nie budzi bynajmniej we mnie zgrozy, nawet wtedy, gdy reprodukuje karykaturę Monny Lizy. Docierając do kilkuset tysięcy czytelników, jeśli nawet zamiast oryginału zamieszcza karykaturę, „Przekrój“ spełnia swoje zadanie. Nie łamię rąk nad „Zieloną Gesią“, ani „Listami z fiołkiem“, choć sądzę, że tylko drobny procent czytelników rozumie te utwory, tak jak je rozumie i czytać należy. Myślę jednak, że pisma codzienne, czytane przez tysiączne rzesze, nie robią najlepszego użytku ze swoich kolumn literackich i niepotrzebnie wdają się w rozmaite, nie zawsze interesujące przeciętnego czytelnika polemiki, zamiast popularyzować sprawy

Warto wiedzieć, że, zdaniem autora, empiryzm twierdzi głównie o pierze się na zaufaniu do człowieka, który opisuje swoje doświadczenia, że zaś są one niedostępne, a przynajmniej, jak sam pisze, „niekomunikatywne“ — to nie martwi go zgoła. Pyta zdumiony:

„...co pan może zarzucić metodologicznej poprawności chrystusowych zeznań o świecie duchowym?“

W dalszym zaś ciągu znajomość reguł metodologii oto jak się ujawnia:

„Tę potężną skłonność do przewyżczania przestrzeni i czasu nazywam duchowością i uznaje ją za objaw energetyki niematerialnej. W tym świetle twierdzenie... że człowiek ginie razem z śmiercią ciała jest stanowczo nienaukowe. Pośmiertne losy człowieka dla nauki są w najlepszym razie niewiadomą“.

A dalej uzyskujemy cenną informację, że „...człowiek wskrzeszony nie może mieć żadnej mózgowej pamięci tego, co się działo z nim po ustaniu działalności mózgu“.

Jeszcze coś: „Nie wiem, czy zna Pan doświadczenie życia, którego centralnym węzłem i motorem jest myśl o Bogu, miłość Boga. Jest to swoista koncepcja humanistyczna o sprawdzalnej logice i prawach rozwoju, które

kultury. Ta popularyzacja może odbywać się dwojaką drogą — albo przez zamieszczanie specjalnie dla takiego dodatku pisanych artykułów, zawierających odpowiednie realia i wyjaśnienia, albo też przez przedruk arcydzieł literatury we fragmentach z odpowiednimi notatkami. Tymczasem pisma codzienne usiłują jak gdyby konkurować z prasą literacką, zabierają głos w sprawach nie mających nie wspólnego z upowszechnieniem kultury, wkraczają w kompetencje Związków Zawodowych (sprawa Jana Huszczy czy Aleksandra Wata) i wplatają swoich czytelników w zawile historie prestiżowe, zamiast dostarczyć mu dobrej i ułatwiającej dostęp do tygodników i miesięczników, lektury. Na łamach dodatków literackich pism codziennych kwitnie najczęściej demagogia kulturalna. Tam właśnie rozstrzyga się w stuwierszowej notatce sprawy nad którymi śleczą żmudnie specjaliści. Wszystko to podlane sosem fikcyjnej opinii publicznej (gdzie jest ona tylko opinią naszego kolegi — dziennikarza) służy później jako miernik w ocenie spraw kulturalnych. „W „Głosie“ pisali... „Kurier“ tak twierdzi... itp.“

Jest rzeczą oczywistą, że tygodniki i miesięczniki nie mogą kształtować opinii w sprawach kulturalnych. Pismo o zasięgu czterdziestu tysięcy prenumeratów mniej może zdziałać niż dziennik o zasięgu kilkuset tysięcy. Toteż sprawa dodatków do pism codziennych jest rzeczą niezwykle ważną. Tak ważną, że Ministerstwo Oświaty, Ministerstwo Kultury, Związek Dziennikarzy, Związek Literatów powinny się nad tą sprawą zastanowić. Może minie ten czas, gdy co niedziela ze szpałt, prowincjonalnej prasy codziennej setki tysięcy będą wyczytywały grafomańskie wierszydła, sentymentalne nowelki i bałamutne artykuły. Prasa codzienna jest nie tylko poważnym orężem walki politycznej. Prasa codzienna może i musi pomóc w dziele upowszechnienia kultury, które w tej chwili nie może być czymkolwiek innym niż dziełem upowszechnienia oświaty. Pisarz i publicysta może, powinien myśleć się i popełniać błędy w prasie tygodniowej i miesięcznej po którą sięga czytelnik mniej więcej wyrobiony. Pisze: „może i powinien myśleć się“ dlatego, że jak sądzę, tylko dyskusja i tylko wzajemne prostowanie błędów jest w kulturze owocne. W prasie codziennej myśleć się nie wolno, każdy popełniony błąd opóźni kulturalną świadomość tysięcy czytelników, każdy grafomański wiersz, każdy bałamutny artykuł, przyczyni się do ugruntowania fałszywego „zamówienia społecznego“. Wiem dobrze, że swobody, których żądam dla prasy periodycznej literackiej i surowe zasady, które proponuję dodatkom literackim do prasy codziennej spotkają się z zarzutem elitaryzmu. Likwidacja tego elitaryzmu nie nastąpi wcześniej, póki za pośrednictwem najbardziej popularnych środków porozumienia między ludźmi, jak prasa codzienna, radio, kino nie wprowadzi nowego odbiorcy do zamkniętego dla niego dotąd dorobku kulturalnego.

ph.

tak samo można odkrywać i ustalać, jak się odkrywa i ustala prawa miłości człowieka. O logice i metodach współzycia z Bogiem można mówić, jako o czymś intersubiektywnym“.

Itd. itd. Załosne te wysiłki, aby wykazać się słownictwem unowocześnionym w odniesieniu do fantazji teologicznych nie zasługują na zwalczenie. Niefrasobliwość metodologów względem wszelkich uznanych prawideł rozumowania jest znana, i ilustracja to jej nie

pierwsza, jak wiemy. Szkoda tylko, że są bez wątpienia tacy, którzy to biorą na serio. Szkoda też, że nie mają oni naogół zwyczaj zaznajamiać się ze zdaniem tych, dla których w takich sprawach wybija się na czoło pierwiastki humorystyczne. Szkoda, bo rzecz jest ucieśna niemniej, niż przerażająca.

Lkl

Zjazd w Kaliszu i orędzie papieża

Paryski tygodnik „Action“ zajmuje się w numerze 5 — 11 bm. zjazdem duchownych polskich w Kaliszu, gdzie jeden z biskupów oświadczył: „Siły pokoju i postępu wzrastają i one właśnie odniosą zwycięstwo nad nieprzyjaciółmi. Po strasliwym kataklizmie ostatniej wojny jest rzeczą jeszcze bardziej tragiczną, że wymierzono karabiny przeciw demokratom greckim i hiszpańskim, którzy walczą z faszyzmem“.

„To demonstracyjne oświadczenie — pisze „Action“ — uważa się za reakcję na niedawne orędzie papieża, które zakwestionowało nowe granice polsko-niemieckie oraz politykę stosowaną przez rząd warszawski na Ziemiach Odzyskanych“.

cyr.

Zasługi wydawców

„Czytelnik“ w wyszyciu wydawniczym, gdy mowa o edycjach zbiorowych, pokona zdaje się innych i pierwszym pełnym wydaniem jednego z zareszerwowanych klasyków będzie zbiór pism Stefana Żeromskiego. Oto otrzymaliśmy w ubiegłym tygodniu dwa nowe tomy wydania — „Promień“ i „Nawracanie Judasza“.

Na tytułowej karcie „Opowieści o dwóch miastach“ Karola Dickensa widzę również napis „Dziela“, z czego wnosię, że „Wiedza“ ma zamiar dać nam Dickensa pełnego. Zamiar bardzo chwalebny, ale dlaczego rozpocznie wydawnictwa zbiorowe Dygasińskiego i Orzeszkowej nie są uzupełniane nowymi tomami?

„Opowieść o dwóch miastach“, wydana starannie i opatrzona interesującym wstępem Jana Kotta, nie jest jedynym nowym wydawnictwem „Wiedzy“. Z literatury angielskiej mamy jeszcze „Wyspę skarbow“ Stevensona i Marka Twaina: „Yankes na dworze króla Artura“. Obie pozycje bardzo pożyteczne. Gdy „Książka“ rozpocznie edycję dzieł Prusa, a PIW da nam Sienkiewicza i Wyspiańskiego, wówczas niewiele już pozostanie rzeczy do wydania w pierwszym rzędzie potrzeb. Tylko dwóch pisarzy czeka na swoje wydania zbiorowe w Polsce Ludowej — Adam Mickiewicz i Juliusz Słowacki. Ja bym dodał nawet „reakcjonistę“ Krasińskiego, a zwłaszcza jego bardzo pouczającą korespondencję.

ph.

KSIAŻKI NADESŁANE

Maria Kuncewiczowa: Klucze, nakł. Spółdz. Wydawn. „Wiedza“, Warszawa 1948, str. 247.
Marek Sadzewicz: Oflag (Pamiętnik jeńca wojennego), nakł. Spółdz. Wydawn. „Wiedza“, Warszawa 1948, str. 249.
Mark Twain: Yankes na dworze króla Artura, Nakł. Spółdz. Wydawn. „Wiedza“, Warszawa 1948, str. 237.
Michał Businek: Burza nad Brukiem (Powieść), Wyd. III, nakł. Spółdz. Wydawn. „Wiedza“, Warszawa 1948, str. 180.
Lech Niemcewicz: Siedem cudów świata, Wyd. II, nakł. wydawn. „Ex libris“, Warszawa 1948, str. 238.
Jan Marowski: Śladami czołgów pierwszej dywizji pancerniej, Wyd. II, nakł. wydawn. „Dobra Książka“, Wrocław 1948, str. 449.
Maria Dąbrowska: Znaki życia (pięć opowiadań), Wyd. II, nakł. wydawn. „Dobra Książka“, Wrocław-Katowice 1947, str. 136.
Hendrik van Loon: Człowiek ustokrotniony (Dzieje cywilizacji na weselo), przekł. Pawła Hulki-Laskowskiego, Wyd. II, nakł. wydawn. „Dobra Książka“, Wrocław-Katowice 1946, str. 248.
Maria Maliszewska: Mieszkamy na Puławskiej (Powieść z życia powojennej Warszawy), nakł. wydawn. „Dobra Książka“, Wrocław-Katowice 1948, str. 173.
Janina Porazińska: Boża ścieżka królowej Kingi (Historia i legenda), nakł. wydawn. „Dobra Książka“, Wrocław-Katowice, str. 69.
Jan Maria Giesges: Opowieści krajoznawcze (Poemat partyzancki), nakł. Biblioteki Oddziału Węskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich, Kielce 1948, str. 64.
Jan Znamieński: Wybrańcy gwiazd (Powieść), nakł. Księgarni Zdzisława Gustowskiego, Poznań 1948, str. 302.

Redaguje: Zespół „Kuźnicy“.

Wydaje: Spółdzielnia Wyd. „Czytelnik“

REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42

CENA OGŁOSZEŃ: Za 1 mm na 1 szpalcie 40 złotych.

WARUNKI PRENUMERATY:

Miesięcznie zł 80,—; kwartalnie zł 240,—; półrocznie zł 480,—; rocznie zł 960,—.

Należność za prenumeratę należy wpłacać do P. K. O. konto VII—567 „Prenumerata Kuźnicy“.

D-024372

Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik“ — Łódź, Żwirki 2.